



Elizabeth Sites



Tęczowa Narzeczona

Tytuł oryginału: The Rainbow Bride

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Chcę się zobaczyć z, Adamem Freeraontem.

Ludzie w barze Handshake gapili się na nią. Z tyłu, kołysząc się na zawiasach, skrzypiały staroświeckie drzwi wahadłowe. Poranne słońce rozciągało jej cień aż do połowy sali.

Biały stetson i winchester w dłoni, zamiast tej śmiesznej laski, pomyślała Iris, i mogłabym występować jako bohaterski szeryf w drugorzędnych westernach.

- Nie ma go tu, psze pani - odezwał się jeden z mężczyzn.

Iris pokuśtykała w głąb baru. Aspiryna i noc odpoczynku sprawiły, że ból w kostce zelżał, niemniej wciąż nie mogła obyć się bez laski. Cholerny Adam Freemont!

- W takim razie poczekam. Nazywam się Iris Merlin. Przywykła już, że ludzie w Nevadzie zrywali się na równe nogi, słysząc jej nazwisko. Ten nie tylko podskoczył, ale spojrzał też znacząco na ciągnący się wzdłuż całej ściany mahoniowy bar, a raczej na to, co wisiało nad nim.

Tęczowa Narzeczona. Portret naturalnej wielkości. Tak właśnie została uwieczniona słynna Iris Merlin w sukni ślubnej, mieniającej się wszystkimi kolorami tęczy. Zgodnie z miejscową legendą krawcowa uniosła się ponoć honorem i nie zgodziła się uszyć białej. Uznała za swój obowiązek odmówić kobiecie, która występowała półnaga ku zgorszeniu porządnych obywateli, a w dodatku w podejrzanym spelunkach. Co gorsza, zamierzała wyjść za osławionego od Tono-pah do Comstock spekulanta złotem i srebrem.

Iris Merlin nie była kobietą łatwo dającą zbić się z tropu. Roześmiała się w twarz zgorszonym mieszczuchom, poślubiła swego spekulanta w stroju, który nie mając nic wspólnego z tym kolorem, stanowił zarazem kwintesencję bieli. Wijący się zalotnie długi welon lśnił purpurą, pomarańczem, żółcią, różem, zielenią, odcieniem turkusu, lazuru indygo aż po głęboki fiolet.

Smukłą szyję zdobiła kolia, która barwami różnorodnych kamieni również imitowała tęczę. Rubiny, cytryny, topazy, skrzące szmaragdy, akwamaryny, szafiry i ametysty.

Rozumiem, pomyślała Iris, dlaczego Indianie Paiute uznali to za czary. Tęcza, która zstąpiła z nieba...

- Nazywam się George Earley - powiedział mężczyzna. - Adam mówił nam, że jesteś jej prawnuczką, czy kimś takim. Trochę jesteś do niej podobna; chociaż nie aż, no wiesz jak...

- Jestem jej cioteczną prawnuczką - wyjaśniła Iris. - A właściwie praprawnuczką.

Była szanowaną bibliotekarką uczelni w Minneapolis, ale nie zamierzała tego komentować. Pomyślała, że gdyby ubrała się w podobną suknię z welonem, a przed ołtarzem czekał pełen werwy spekulant w stylu Wynne'a Rowlanda, pewnie też wyglądałaby w stylu „no wiesz, jak...”

- Adam mówił, co się wczoraj stało - ciągnął George Earley - i uprzedził nas, że możesz się zjawić.

- Doprawdy? - Pomimo uprzejmego tonu Iris wyczuwała niechęć tych ludzi, którzy jej nie akceptowali. Chociaż byli całkiem obcy, jak zwykle ją to ubodło. - Czy powiedział dlaczego?

- Tak, psze pani - odparł George Earley. - Mówił, że jest pani, za przeproszeniem, stuknięta. Powiedział, że chce pani, byśmy przerwali prace, bo musi się pani pokręcić po Rainbow. Mówił...

- Zamknij się, George - przerwał mu inny mężczyzna. - Uzgodniliśmy, że nie będziemy jej zachęcać.

Poczuła, jak rumieni się z zażenowania. Zaczęła odpinać klapę nylonowej torby przychepionej do pasa. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Coś wam pokażę - powiedziała. - Chcę, żeby Adam Freemont też to zobaczył. Zaczekam.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie George Earley skinął głową w stronę tylnych drzwi.

- Nie ma co czekać. Jest na zewnątrz.

- Dziękuję - odparła oschle Iris. - Jeszcze tu wrócę.

Za domem nie było ani śladu Adama Freemonta. Stało jedynie sześć drewnianych chat po... Spojrzała na ręce. Szramy widniały na lewym nadgarstku. Zatem domki stały po lewej. Pokuśykała ku nim przez pusty plac.

Rygiel w pierwszym był zardzewiały. Powiesiła laskę na lewej ręce i balansując na zdrowej nodze, otworzyła z trudem drzwi. Mała kabinka była pusta.

- Chyba już pani tłumaczyłem - rozległ się z tyłu znajomy głos Adama Freemonta - że nie znajdzie pani tego, czego szuka.

Iris podskoczyła. W ostatniej chwili zdołała podtrzymać równowagę laską i odwrócić się.

Zamiast bluzy z kozłowej skóry, miał na sobie najzwyklejsze dżinsy i niebieską bawełnianą koszulę. Gęste kosmyki włosów starannie zaczesał do tyłu. Mimo to było w nim coś nieobliczalnego, coś, co trudno byłoby nazwać ucywilizowaniem. Obok stał wilk. Wilk, który nie był prawdziwym wilkiem...

Wszystko zaczęło się od wilka.

Iris znajdowała się w połowie drogi od Rainbow, gdy z upału pustyni Nevada wyłonił się człowiek z wilkiem, odcinając się na tle jasnoblękitnego nieba. Zesztywniała, ścisnęło ją w dołku. Nie umiała zapanować nad lękiem przed psami, a ten wilk wydawał się większy, szybszy i bardziej zajadły.

Mężczyzna sunął ku niej tuż za nim. Był wysoki, dobrze zbudowany. Poruszał się lekko, nie ociężałe jak bywalec siłowni, lecz z niewymuszonym wdziękiem. Miał na sobie luźną bluzę z kozłej skóry i zakurzone dżinsy. Wyglądał równie dziko i groźnie, jak towarzyszące mu zwierzę

Coś krzyknął. Wilk zatrzymał się i popatrzył na niego, tuląc uszy. Mężczyzna wykonał gwałtowny gest. Wilk zawahał się przez chwilę, potem zawrócił w stronę Iris i popędził ku niej w podskokach.

Rzuciła się do ucieczki, ale wiedziała, że to beznadziejne. Nie miała gdzie się schować, dokąd uciec. Nie mogąc walczyć z nim gołymi rękami, myślała gorączkowo. Muszę mieć jakąś broń. Cokolwiek. Kamień lub choćby...

Sięgnęła do zawieszanej u pasa torby. Otworzyła ją. Palce zacisnęły się wokół ciężkiego plastikowego przedmiotu. W tym momencie kamień usunął się jej spod stopy i runęła na twarz, poczuła też przenikliwy ból w kostce. Krzaki i kamienie kaleczyły jej kolana i ręce. Odwróciła się i na oślep cisnęła z całej siły trzymanym w rękę przedmiotem.

Wilk zaskomlał ze zdumienia. Trafiłam go, pomyślała, gorączkowo grzebiąc w torbie i chwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w rękę. O Boże, zbliża się, a może to ten szalony wilkołak...

Szalony wilkołak stanął obok wilka. Nawet się nie zasapał. Wyraźnie nie był przerażony trzymaną przez nią w ręce torebką suszonych moreli.

- Ucieczka - odezwał się wilkołak wyjątkowo rzeczowym tonem - była najgorszą decyzją. Czy nic się pani nie stało?

Gapiła się na niego, usiłując złapać oddech. Nieznajomy był opalony, gęste, ciemnobrązowe włosy opadały mu na twarz, złociście połyskując w promieniach słońca. Oczy miał niesamowite, szaroniebieskiej barwy deszczu, nieba i światła.

- Zabierz go ode mnie - wykrztusiła. - Tego psa... wilka. Cokolwiek to jest. Weź go stąd.

Nachmurzył się. Zmarszczył brwi, aż zarysowały się pomiędzy nimi dwie cienkie kreseczki. Potem się uśmiechnął.

- Kimantsi? - spytał. - Ona nie jest wilkiem, to husky. I w żadnym razie...

Iris zdusiła, szloch i cisnęła torebką moreli w psa, który odskoczył z piskiem.

Mężczyzna wykonał jakiś gest. Tym razem wilk, czy cokolwiek to było, odwrócił się posłusznie i oddalił jakieś pięćdziesiąt kroków.

- Tak lepiej?- spytał łagodnie. - Przepraszam, próbowałem ją powstrzymać, ale to jeszcze szczeniak i czasem zapomina, czego ją uczyłem. Większość ludzi nie...

- Dla mnie wygląda jak wilk - powiedziała Iris. Kostka bolała ją okropnie. Z pokaleczonych kolan i rąk sączyła się krew. - Czy mógłby mi pan podać mój telefon?

Przyglądał się jej przez chwilę. Najwyraźniej szukał śladów świadczących o obrażeniach głowy.

- Co takiego?

- Mój telefon - powtórzyła Iris. - To właśnie przenośnym telefonem cisnęłam w pańskiego wilka. Teraz robią takie urządzenia, z których można...

- Wiem, co to jest telefon komórkowy - odparł łagodnym tonem wilkołak i podszedł do miejsca, gdzie leżał aparat. - Czy powinien składać się z dwóch oddzielnych części? - spytał, podnosząc go.

- Bardzo śmieszne - rzekła Iris. - Oczywiście, że nie. Wręczył jej kawałki telefonu.

- To nie jest teren publiczny - wyjaśnił. - Należy do mnie. Poszedłem w pani stronę, bo miałem wrażenie, że pani się zgubiła. Obejrzę pani kostkę.

Przykucnął i wyciągnął rękę. Iris odsunęła się na bok i spróbowała wstać. Poczwała przejmujący ból, od którego zrobiło się jej niedobrze.

- Chyba jest złamana - powiedziała. - Niech mnie pan zostawi.

- Z reguły nie narzucam swojego towarzystwa kobietom, które są mi niechętne - oświadczył wilkołak. - Jednak długo trzeba będzie czołgać się do drogi. Czy na pewno pani o to chodzi?

- Nie chodzi mi o to, żeby mnie pan tu zostawił, ale żeby dał mi pan spokój.

Nie tyle się uśmiechnął, co wypogodził.

- To najwyraźniej wyjaśnia wszystkie możliwe nieporozumienia. Proszę posłuchać, jeśli nie może pani wstać, proszę mi pozwolić zdjąć but, zanim spuchnie pani noga.

- Sama potrafię zdjąć but - upierała się Iris. Spróbowała podciągnąć nogę, by dosięgnąć sznurowadeł, lecz zgięcie kostki nawet o milimetr okropnie bolało. Telefon się połamał, pomyślała tknięta lękiem, a ja jestem sama na pustyni z żółtookim wilkiem i nieznanym, który...

- Nazywam się Adam Freemont - odezwał się wilkołak, najwyraźniej czytając w jej myślach. - Mieszkam w centrum Felicity. Proszę się nie martwić, będzie pani...

- Że jak się pan nazywa?

- Adam Freemont. Mam...

Iris opanowała nie w pełni uświadomiona chęć pozbycia się go, a tymczasem nie podejrzewający niczego Adam Freemont pochylił się ku niej, spokojnie sięgając do sznurowadeł.

Otwarta dłoń Iris trafiła go w policzek z dokładnością, jakiej nie osiągnęłaby nawet po stu próbach, gdyby pragnęła uderzyć go celowo. Cios był wystarczająco silny, by wytrącić go z równowagi. Wilk natychmiast poderwał się i postąpił krok do przodu.

Cofnęła się kilka centymetrów do tyłu. Rękę miała zdrętwiałą, jakby nie swoją.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Nie chciałam. Ale pan się poruszył.

Adam Freemont musiał dać kolejny znak ręką, bo wilk zatrzymał się w pół kroku. Przez chwilę mężczyzna i zwierzę zamarli w bezruchu. Następnie Adam wolno uniósł głowę i popatrzył na nią. Jego niesamowite oczy barwy deszczu tak kontrastowały z opalenizną twarzy i gęstymi brwiami, że Iris cofnęła się kolejny centymetr i spróbowała podciągnąć nogi, żeby wstać.

- Proszę siedzieć spokojnie - odezwał się obojętnym tonem, jakby policzkowanie przez nieznaną kobietę było dla niego chlebem

powszednim. - Próbując wstać, pogorszy pani jedynie stan kostki. A swoją drogą, jak się pani nazywa?

Iris zaczerwieniła się. Nie było to przyjemne uczucie. Milczała przez chwilę, która wydała się jej wiecznością.

- Przepraszam - wydusiła wreszcie. - Zachowałam się głupio i arogancko. Nazywam się Iris... Iris Merlin.

Wzdrygnął się lekko. Najwyraźniej zdumiało go jej nazwisko.

- To niemożliwe - powiedział. - Jest pani aktorką albo tancerką używającą tego nazwiska jako scenicznego pseudonimu? Czy w ogóle wie pani, kim była Iris Merlin?

- Czy wyglądam jak tancerka? - oburzyła się Iris. - Na litość boską, jestem bibliotekarką uczelni w Minneapolis. Iris Merlin to moje prawdziwe nazwisko i dziękuję, ale chyba lepiej od pana wiem, kim była tamta Iris Merlin. Na początku stulecia zajmowała się... przemysłem rozrywkowym w Tonopah, Goldfield, Felicity i Rainbow. Nazywano ją Tęczową Narzeczoną. Była moją cioteczną prababką, dokładnie praprababką.

- Co nadal nie tłumaczy, dlaczego woli pani ryzykować życie na pustym, zamiast przyjąć moją pomoc?

Iris znów nieco odsunęła się od niego.

- Bo pan jest tym, który naopowiadał kłamstw Donaldowi Fontenotowi. I to pan chce otworzyć kopalnię w Rainbow.

Znów popatrzył na nią, jakby zastanawiał się, czy aby na pewno nie uderzyła się w głowę.

- Nikomu nie opowiadałem żadnych kłamstw - odezwał się - i ciekaw jestem, kim jest Donald Fontenot.

- To historyk - rzekła sucho. - Z Arizony. Ten, który pisze książkę o prababci Iris. Wiem, co pan mu powiedział, bo powoływał się na pańskie wypowiedzi w rozmowie ze mną. Kiedy próbowałam wyjawić mu prawdę, usiłował użyć pańskich słów do przekonania mnie, że się mylę.

- Fontenot - powiedział Adam. - Zapomniałem jego nazwiska. Tak, rozmawiałem z nim. Interesował się folklorem...

- Może powiedział, że interesuje go folklor, ale tak naprawdę zamierza opublikować te opowieści jako fakty historyczne. A to błąd. Kiedy w Rainbow wybuchła epidemia cholery, babka Iris została i pielęgnowała wszystkich chorych, póki sama nie umarła. Tymczasem legenda głosi, jakoby porzuciła męża i wszystkich umierających, żeby uciec do Kalifornii. To podłe kłamstwo.

- Skąd pani wie, że to kłamstwo? - spytał Adam - I co wspólnego ma z tym kopalnia w Rainbow?

- Wiem o tym od mojego ojca - odparła Iris. - A kopalnia Rainbow ma z tym tyle wspólnego, co samo miasteczko. Tymczasem pan chce zetrzeć Rainbow z powierzchni ziemi.

- Rainbow to wymarłe miasto - powiedział Adam Freemont. - Nie zostało z niego nawet tyle, żeby rząd wziął je pod ochronę. Felicity w ciągu pięciu lat również stanie się wymarłym miastem, jeśli nie znajdziemy złota w kopalni.

- Rainbow może i jest wymarłym miastem - odparowała Iris - ale tam mogą znajdować się dowody na to, że ludowa opowieść nie była zgodna z prawdą. Tymczasem pan i pańscy górnicy zniszczycie miasto, starą kopalnię oraz pustynię w obrębie kilkunastu kilometrów i nigdy już tego nie znajdzie. Wówczas nie będę w stanie powstrzymać Donalda Fontenota przed opublikowaniem jego podłej książki.

- Nie zamierzam pytać, co chce pani znaleźć na środku pustyni, żeby coś tam udowodnić. Nie mam też zamiaru siedzieć w pełnym słońcu i klócić się panią.

Pochylił się i przytrzymał ręką jej nogę. Nic właściwie się nie stało... dłoń Adama spoczęła na jej gołej skórze, a palce zacisnęły się lekko na łydce... Ale nagle wszystko zamarło. Zniknęła złość i furia, ustał ból. Wstrzymała na moment oddech.

Potem wszystko równie gwałtownie wróciło do normy. Iris znów była sobą. Prawie sobą. Czowała się, jakby uległa niedostrzegalnej, lecz trwałej zmianie. Pokręciła głową.

Adam Freemont patrzył na nią. Iris zaczęła się zastanawiać, czy potrafi on tymi jasnymi oczami dostrzegać to, co przed innymi kryje mrok.

- Dobrze się pani czuje?

- T... tak - odparła niepewnie Iris. - Po prostu przez chwilę zrobiło mi się słabo. Niech mi pan pomoże dostać się do drogi. Tam stoi mój samochód. Zapłacę za stracony czas.

- Nie stać pani na kupno mojego czasu - powiedział, rozsznurował jej but i zajął się stopą. - No... Teraz lepiej?

- Odrobinę.

- Chyba nie jest złamana, ale powinna pani skontaktować się z lekarzem.

- Wspaniały pomysł - zakpiła Iris. - Wpadnę do kliniki za tą kępą krzaków.

Tym razem poważny wyraz twarzy Freemonta zmienił się w lekki uśmiech.

- Zawiozę panią do ambulatorium w Tonopah.

- Proszę mi tylko pomóc dotrzeć do drogi. Sama dostanę się do lekarza.

- Nie może pani prowadzić z bolącą kostką - zaproponował Adam. - A swoją drogą, Esmeralda jest bliżej.

- Kto taki?

- Esmeralda to moja furgonetka. Proszę spróbować wstać.

Wyciągnął do niej rękę. Iris zawahała się przez moment, potem podała mu dłoń. Kiedy spotkały się ich palce, ogarnęło ich zmieszanie, które towarzyszyło już pierwszemu zetknięciu. Iris uznała to za dziwny objaw porażenia słonecznego. Zaciśnęła zęby, wsparła się na zdrowej nodze i wstała. Delikatnie postawiła na ziemi drugą nogę. Najmniejszy nacisk powodował przenikliwy, ostry ból.

- Chyba nie dam rady iść - rzekła niechętnie. Podniósł ją z łatwością, która odebrała jej mowę.

- Nie musi pani chodzić - powiedział. - Proszę objąć mnie jedną ręką za szyję, to łatwiej będzie mi panią nieść. Kima, przynieś but.

Wilk podbiegł do leżącego buta i podniósł go.

- Proszę mnie postawić - jęknęła Iris. - O Boże, nie. Byle nie obok tego wilka.

Odruchowo złapała Adama Freemonta za szyję. Bluzę z ciemnobrązowej skóry zdobiły na szwach frędzle z kolorowymi paciorkami. Bluza była miękka i zdumiewająco czysta. Kryjące się pod nią muskularne ramiona nie były specjalnym zaskoczeniem, zważywszy na sposób, w jaki się poruszał. Pachniał rozgrzaną skórą, pustynią, powietrzem, piaskiem i srebrnozieloną szafwią.

Ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

- Kima nie jest wilkiem. Proszę się nie obawiać, nie zbliży się do pani. To chyba coś więcej, niż zwykły strach przed psem, prawda?

Przypomniała sobie zęby zaciśnięte wokół jej nadgarstka, chrupnięcie kości i gorącą, lepką krew zlewającą się w jedno z krzykiem przerażonej czterolatki. Matka krzyczała również, a ojczym nie mógł pohamować złości w głosie. „Mówiłem jej - powtarzał - żeby unikała psa. Boże, wolałbym, żebyśmy byli tylko we dwoje, żeby nie dzieliło nas dziecko innego mężczyzny...”

- Chyba tak - powiedziała Iris.

- Reaguje pani tak tylko na psy, czy i na inne zwierzęta?

- Tylko na psy. Proszę posłuchać, chodzi o Rainbow. Chciałabym...

- Nie mogę wstrzymać realizacji projektu.

- Wcale o to nie proszę. No, niezupełnie. Tylko do chwili... aż przeszukam to miejsce.

- Nie mogę czekać.

Iris wyczuła napięcie rąk i ramion Adama. Nierozsądnie spierać się z człowiekiem, który niesie cię przez pustynię niczym szejka z niemych filmów, zwłaszcza jeśli obok niego kroczy wilk. No dobrze, husky, który tylko wygląda jak wilk. Niemniej to nadal pies.

- To przecież pańska ziemia.

- Ziemia może należeć do mnie, ale projekt otwarcia kopalni wymagał inwestorów. Ludzi z Felicity, moich przyjaciół. Oprócz tego jesteśmy zależni od giełdy. Jeśli nie dotrzemy terminów, stracimy wszystko. Felicity jest moim domem, panno Merlin. Tu się urodziłem, wychowałem, a nawet...

Urwał. Iris czekała.

- Nawet co? - spytała po chwili.

- Nic. Proszę posłuchać. Nie mamy tu lekarza, straży pożarnej, szkoły ani biblioteki. Nasze zabytkowe budynki obracają się w ruinę. Potrzebujemy złota z Rainbow.

- Proszę tylko o nieco czasu - błagała zrozpaczona Iris. - Żeby odkryć prawdę.

Nie mogła przecież powiedzieć mu wszystkiego: że ojciec nazwał ją tym imieniem, zanim zginął w Wietnamie, i kiedy była mała, zawsze marzyła o prababce Iris. Uważała ją za najwspanialszą osobę na świecie, a ją i ojca za niezwykłą rodzinę. Oni nigdy jej nie odepchnęli, nie krzyczyli na nią...

- On zamierza ją spotwarzyć - wyznała. - A ona nie może się obronić, bo nie żyje.

Przez chwilę Adam milczał.

- Oczernić - odezwał się wreszcie.

- Proszę?

- Jeśli jest to na piśmie, mamy do czynienia z oczernianiem, nie ze spotwarzeniem.

- Dziękuję, panie profesorze. Zatem oczernić. Potrzebuję jedynie...

- Czy mogłaby pani przestać? - przerwał jej. - O Boże, jakby nie dość mi byto innych ludzi... Proszę przestać, błagam.

Pies wydał głęboki pomruk, Iris podskoczyła i ku swemu zażenowaniu mocniej objęła Adama Freemonta. Ten zawahał się przez chwilę, poprawił chwyt, by móc trzymać ją wygodniej i ruszył dalej w milczeniu.

Iris zamknęła oczy. Byle tylko nie patrzeć na psa z butem w pysku kroczącego u boku pana. Żeby nie widzieć profilu Adama Freemonta, jego lekko zachmurzonego spojrzenia nieprawdopodobnie jasnych oczu, czarnych rzęs złożonych blaskiem słońca.

„Jakby nie dość mi było innych ludzi...” Co mu ci ludzie zrobili? Dlaczego to wszystko tak go zdenerwowało? Mniejsza z tym, pomyślała. To nie moja sprawa. Nie mogę się tym przejmować. Wydałam ostatnie pieniądze na wyjazd do Nevady, by znaleźć coś, co powstrzyma Donalda Fontenota przed opublikowaniem jego podłej książki i nie poddam się.

Merlinowie nigdy nie uciekali. Cioteczna babka Iris nie uciekła przed cholera. Mój ojciec, który kochał mnie naprawdę, nie tak jak ojczym, nie uciekał przed wojną. Ja też jestem z Merlinów. Dlatego niezależnie od tego, co się wydarzy, nie ucieknę przed Adamem Freemontem...

- ...więc kiedy zobaczyłem, że wychodzi pani z baru-mówił Adam Freemont - pomyślałem sobie, że może mnie pani szuka. Proszę się nie bać, trzymam Kimantsi z daleka od pani.

Iris zamrugła gwałtownie. Pies zniknął. Pustynia również. Zniknęły też trzymające ją ramiona Adama Freemonta. Znalazła się na progu tajemniczej, opuszczonej chatki na zapleczu baru Handshake. Adam stał obok, przyglądając się jej badawczo.

- Wcale się nie boję. Po prostu pan mnie zaskoczył.

- Nie chciałem.

Przez chwilę nic nie mówili.

- Do czego służą te małe domki? - spytała.

- To dzieże.

- Dzieże? Na kukurydzę?

- Od razu widać, że jest pani ze środkowowschodnich stanów - powiedział. - Nie, to nie na kukurydzę.

- Więc do czego... - urwała.

Gdzieś tam za barem pozostały ślady bujnych dni gorączki złota i srebra w Nevadzie. Bogata skarbnica najróżniejszej wiedzy zdobytej w bibliotece podsunęła jej, co to słowo oznacza. Zarumieniła się.

Adam podszedł bliżej. Wetknął głowę przez próg.

- Dlaczego mnie pani szuka? - spytał uprzejmie.

Iris cofnęła się gwałtownie, walcząc z laską. Nagle w małym pomieszczeniu zrobiło się jeszcze bardziej duszno i gorąco, lekko zapachniało srebrnozieloną szalwią i pustynią.

- Chciałam dowiedzieć się o mój samochód - odparła. - Jest z wypożyczalni, a zostawiliśmy go przy drodze, kiedy wiozł mnie pan wczoraj do szpitala.

Adam postąpił krok do przodu. Iris cofnęła się i oparła plecami o ścianę.

- Wczorajem odstawiłem go do Felicity. Stoi zaparkowany po drugiej stronie baru.

Kolejny krok i niemal przyparł ją do ściany. Sięgnął ręką wolno, jakby ciężkie powietrze pamiętało inne kobiety i innych mężczyzn, którzy spotykali się w tym nędznym pomieszczeniu. Iris usiłowała utrzymać równowagę, stojąc na zdrowej nodze i zasłaniając się laską.

Pragnąc jak najszybciej dotrzeć do Rainbow, pospiesznie zebrała włosy w staromodny węzeł, lecz teraz rozsypały się w lokach na czoło i skronie. Adam ujął lok między kciuk i dwa palce tak delikatnie, że odnosiła wrażenie, jakby badał każdy włos. Nagle ogarnęła ją pewność, że mógł w ten sposób wyczuć rzeczy niedostępne dla palców innych mężczyzn: gładkość i szorstkość, kształt i fakturę.

- Iris Merlin - rzekł cicho. - Zastanawiam się, czy kiedykolwiek tu była. Zwłaszcza w tym pomieszczeniu. Tyle się o niej opowiada. Nikt nie wie na pewno, czy tylko śpiewała i tańczyła, czy może świadczyła również usługi rozrywkowe innego rodzaju...

- Na pewno nie! - zawołała Iris. - Przenigdy.

- Skąd pani wie?

Iris zaczerpnęła powietrza i odwróciła głowę, żeby oswobodzić kosmyk włosów.

- Po prostu wiem. Mówiliśmy o moim samochodzie. Czy mogłabym dostać kluczyki?

Przez chwilę stał bez ruchu. Potem popatrzył na swoją dłoń, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, nim wreszcie opuścił rękę.

- Przepraszam - powiedział lekko matowym głosem. - Kluczyki są w środku. Wraca pani do Minneapolis?

- Nie. - Iris odgarnęła kosmyki z twarzy. - Nie wracam do Minneapolis. Jadę do Rainbow. Skoro nie mogę pójść pieszo, pojedę.

- Nie może pani jechać autem z wypożyczalni przez pustynię - najeżył się.

- Będę uważała.

- Ostrożna jazda nie ma tu nic do rzeczy. Zniszczy pani wóz.

- Więc proszę mnie zawieźć. W końcu, gdybym nie spotkała pana i pańskiego wilkopodobnego psa, dotarłabym do Rainbow wczoraj. Byłabym tam teraz.

- Iris! - Jego głos nie brzmiał już tak pewnie. - W Rainbow niczego pani nie znajdzie.

„Czy mogłaby pani przestać? - powiedział wtedy na pustyni równie niepewnym tonem. - O Boże, jakby nie dość mi było innych ludzi... Proszę przestać, błagam”.

Miał w sobie niezwykle ładunek siły. Jego oczy sprawiały wrażenie, że potrafią widzieć w ciemnościach, palce, że odczytują zawartą w dotykanym przedmiocie przeszłość. Miał też jednak swoje słabe strony, które czyniły go bezbronnym. Więc zaatakujmy go z tej strony, postanowiła. Nie wahaj się, nie analizuj, a przede wszystkim nie próbuj wczuć się w niego, bo wiesz najlepiej, jak to się kończy.

Postąpiła krok w jego stronę. Ból w kostce był przenikliwy, lecz nie oparła się na lasce. Sięgnęła do zawieszanej u pasa torby.

- Mam czego szukać w Rainbow - oświadczyła. - To właśnie chcę panu wyjaśnić. Dlatego, panie Freemont, proszę za mną do baru. Mam coś do pokazania zebranym, a zwłaszcza panu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na skraju jego pola widzenia pojawił się cienki świetlisty krąg.

Adam nachmurzył się i ruszył w ślad za Iris Merlin, przez podwórko w stronę baru. Jasność nasiliła się. W uszach rozległ się znajomy szum. Potem wystąpił ból głowy, tak silny i przenikliwy, jakby głowa rozpadała mu się na kawałki.

Zatrzymał się i zamknął oczy. W ciemności oddychał głęboko i ostrożnie, koncentrując się na ciszy pustynnego świtu i palącym skórę słońcu. Po chwili ból zaczął ustępować, szum w uszach osłabł. Otworzył oczy. Poświata zszarzała.

- Cholera - zaklął cicho.

Kimantsi zerwała się z ocienionego miejsca pod samochodem i podbiegła do niego. Pogłaskał ją po łbie.

- Z jednej strony Iris Merlin - rzekł ni to do psa, ni to w pustkę - z drugiej zaś Felicity. Obie strony chcą czegoś ode mnie i znów czuję się złapany między...

Ta myśl ponownie przywołała blask i szum w uszach. Urwał więc w połowie.

Kimantsi zaskomlała i wepchnęła mu łeb pod rękę.

- Wiem - powiedział - ale musisz poczekać jeszcze chwileczkę. Panna Iris Merlin ma mi coś do pokazania, a ja chcę to zobaczyć. Siad.

Pies usiadł, wzdychając niemal jak człowiek. Adam uśmiechnął się. Uśmiechał się często, kiedy obcował z Kimą albo z dziećmi.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił psa. - Zostań, za chwilę wracam.

W barze Handshake panowała grobowa cisza. George Earley, Tommy Killian i reszta pracowników tłoczyła się, niczym stado niespokojnych krów, jak najdalej od Iris Merlin. Ona zaś stała przy barze, ściskając łaskę w rękę, tyłem do portretu Tęczowej Narzeczonej. Promienie słoneczne wpadające do wnętrza pod i nad wahadłowymi drzwiami, kładły się u jej stóp dwiema złotymi plamami.

Wyglądała na spłoszoną i nieufną. Wargi zacisnęła mocno, niczym dzieciak, który zrezygnował z zabawy i udaje, że nic go to nie obchodzi. Tylko że nie były to dziecięce wargi. Mimo drobnej budowy, nie miała nic dziecinnego w oczach, szyi ani w łagodnym łuku bioder. Nie było niczego dziecinnego w jej ciele, które przed dwudziestoma czterema godzinami odcisnęło się trwale na jego ramionach i klatce piersiowej.

- Już myślałam, że pan nie przyjdzie - odezwała się, spoglądając na Adama.

Robiła, co mogła, żeby wyglądać na wyższą, ale choć wyciągała się z całej siły, nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt pięć. Upięta na czubku głowy masa kasztanowych włosów dodawała jej kilka centymetrów. W jej włosach kryło się coś niepokojącego, bo przywodziła mu na myśl syjamskiego kota. Kota szykującego się do walki albo do skoku...

- No więc jestem - powiedział Adam. - Co chciała nam pani pokazać?

Wolną ręką sięgnęła do torby. Nie ma tam nic takiego, pomyślał Adam, co mogłoby mnie zadziwić. Wczoraj nosiła przy pasku telefon komórkowy i torebkę suszonych moreli. Dziś może mieć najwyżej...

Iris otworzyła dłoń. Trzy kamienie zaśniły w słońcu: purpura, złoto i jasna zieleń z niebieskim. Rubin, topaz i akwamaryn. Każdy ważył co najmniej karat. Może więcej.

Zaskoczyła go. Mimo woli popatrzył na portret. Kamienie w naszyjniku były mniej więcej tego rozmiaru, identyczne w kolorze.

- To nie może być to, co mi się wydaje - rzekł powoli.

Iris pokuśtykała w stronę mężczyzny i Adam poczuł uderzenie gorąca, kiedy otarła się o niego. Wszystko w niej było nie tak. Drobną, delikatną i nowoczesną reprezentowała sobą kobietę z innego świata, kobietę, która wiedziała tak niewiele o pustyni, że wybrała się tam samotnie w nieodpowiednich butach, bez kapelusza, uzbrojona jedynie w zdecydowanie. Uparta, podstępna i podatna na niewytłumaczalne fobie wyruszyła do Felicity, żeby przeszkodzić mu w zrealizowaniu życiowego marzenia. A jednak z trudem powstrzymał się, by nie dotknąć jej ponownie.

- To jest właśnie to, co się panu zdaje - powiedziała. - Klejnoty z naszyjnika Tęczowej Narzeczonej.

- Niemożliwe - odezwał się Tommy Killian. - Zabrała go, kiedy wyjechała do Kalifornii.

- Nigdzie go nie zabierała - odparła Iris.

W ciszy, która zapadła, Adam usłyszał, jak z lekkim stuknięciem, przed oczami osłupiałych mężczyzn, kładzie na stół akwamaryn.

- Chce nam pani wmówić, że go ma? - spytał.

- Nie. - Iris położyła rubin obok akwamarynu. Kolejny cichy trzask. - Nie mam go.

- Co w takim razie?

Ostatnie stuknięcie i Iris dołożyła topaz.

- Wciąż tu jest - powiedziała. - Jest gdzieś ukryty i stalowi dowód rzeczowy, że nie opuściła Rainbow żywa.

Adam podszedł do stołu i podniósł topaz w kolorze starego złota, przetykany miejscami brązem i czerwienią. Na powierzchni kamienia widniały delikatne zarysowania. Klejnot wyglądał na stary. Wyczuwał to, czuł również, że emanuje smutkiem, nieszczęściem, a nawet rozpaczą.

- Skąd pani ma te kamienie i pewność, że należały do pani prababki? - spytał. - Skąd wiadomo, że nie uciekła? Przecież nikt w Rainbow nie przeżył epidemii cholery.

- Jeden ocalał, nazywał się Ned Finney. Mój ojciec... Urwała, a na jej twarzy pojawił się wyraz zażenowania.

- Mój prawdziwy ojciec - poprawiła się - wiedział o tym. Zginął w Wietnamie, kiedy miałam zaledwie parę miesięcy, ale dał mi imię Iris i opowiedział matce całą historię, a ona... Matka z czasem powtórzyła mi wszystko i dała te kamienie. Jeśli pozwolicie, opowiem wam całą historię.

- W porządku - rzekł Adam i odłożył kamień na stół. - Proszę nam wszystko opowiedzieć.

- Babcia Iris była tu jedyną kobietą - zaczęła Iris. - Jej mąż zachorował, więc nie mogła go opuścić. Górnicy jeden po drugim zapadali na cholere. Mieszkańcy Feficity byli tak przerażeni, że nie zbliżali się do Rainbow na kilkanaście kilometrów i nie pozwalali przyjść nikomu stamtąd. W tej sytuacji mogła zwrócić się jedynie do Indian Paiute.

- Nie wierzę... - odezwał się Tommy Killian.

Adam wykonał krótki gest i Tommy urwał w pół zdania.

- Proszę mówić dalej - zachęcił ją Adam.

- Wymieniła biżuterię na wodę i jedzenie, lekarstwa, zioła i tak dalej - kontynuowała swą opowieść Iris. - Kiedy oddała wszystkie kolczyki, broszki i bransoletki, zaczęła wrywać kamienie z naszyjnika, by je także wymienić.

Rysy na topazie, pomyślał Adam. To uczucie samotności i rozpacz.

- Wynne Rowland zmarł - mówiła dalej Iris, ale głos zaczął jej lekko drżeć. - Po jego śmierci nie chciała już walczyć dalej. Zachorowała i Paiute próbowali ją ratować, ale ona nie potrafiła żyć bez męża. Kiedy zmarła, pochowali ją. Nawet Ned Finney nie wiedział gdzie.

- A naszyjnik? - spytał Adam.

- Ukryła go. Ned Finney wykradł te trzy kamienie Indianom i przyniósł je w tajemnicy mojej prababce. Szukali naszyjnika, ale nigdy go nie znaleźli.

Nie mówili o tym nikomu, bo stary Jacob Merlin nie chciał, żeby ktoś sprzątnął go im sprzed nosa.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Naszyjnik Tęczowej Narzeczzonej - odezwał się wreszcie Adam - spoczywa ukryty w wymarłym mieście na środku rozległej pustyni. Tak, sądzę, że może wciąż tam być. Ale pani go nie znajdzie. Nikt nigdy go nie odnajdzie.

- Znajdę. Na pewno znajdę, dajcie mi tylko szansę. Gdybyście tylko na trochę wstrzymali prace górnicze...

- A jeśli to trochę nie wystarczy do odnalezienia naszyjnika? - zapytał Adam. - Czy znów zażąda pani opóźnienia prac? Przykro mi, ale to...

- To jest historia - żarliwie broniła się Iris. - Chodzi o reputację mojej prababki, jej dobre imię. Chodzi o prawdę. Proszę...

- Mnie chodzi o całe miasto - odparował Adam. Jego głos nie brzmiał wcale tak spokojnie, jak by sobie tego życzył. - O ludzi, którzy tu mieszkają. O lekarza, szkołę i bibliotekę.

- Wszyscy tu obecni zainwestowali w kopalnię Rainbow

- odezwał się nieco przeproszającym tonem George Earley.

- To nie jakaś wielka firma z miasta, tylko my, mieszkańcy Felicity, włożyliśmy w to oszczędności całego życia, czas i pracę.

- Możemy wszystko stracić - dodał ze złością Tomray Killian. - Pani naszyjnik w porównaniu z tym jest niewiele wart.

Iris popatrzyła na zebranych. Odwzajemnili się wrogimi spojrzeniami. Wreszcie zebrała kolejno kamyki. Ręka jej drżała.

- Zamierzam udać się do Rainbow - powiedziała. - Możecie brać się do pracy. Nie będę wchodziła wam w drogę.

- Adam ma prawo własności wszystkich gruntów wokół Rainbow - powiedział Tommy. - Jeśli pani się tam wybierze, będzie to wtargnięcie. Powiedz jej to, Adamie.

On jednak milczał. Przyglądał się, jak Iris chowa kamienie do torby. Miała śliczne, delikatne dłonie, paznokcie w kształcie migdałów pomalowane na różowo. Pomyślał, że tak wypielegnowane dłonie nie wytrzymają kopania na pustyni.

- I jak - spytała - czy to prawda?

- Owszem. - Spojrzał jej w oczy. - Mam prawo własności.

- Więc może mi pan udzielić zgody na wejście.

- Nie rób tego - odezwał się Tommy. - Wszędzie tam pełno starych szybów. Będziemy musieli bez przerwy jej pilnować.

- Potrafię o siebie zadbać - odcięła się Iris.

- Nawet pani nie potrafi chodzić. - Tommy splunął na podłogę.

- Spokojnie, Tommy - powiedział Adam i poczuł, że jasna poświata wróciła. Napięcie za gałkami ocznymi rosło. Musiał skoncentrować się, by składnie mówić - Niech pani posłucha, Iris. Nie mogę wstrzymać prac. Będzie pani jednak w każdej chwili mile widziana. Sam tam panią zabiorę.

- Dziękuję - odparła hardo - ale nie chcę, by pan i pańscy... przyjaciele odnieśli wrażenie, że trzeba mnie wozić i na mnie uważać. Gdybym tylko mogła...

Adam zauważył, że zaświtał jej w głowie jakiś pomysł. Oczy jej się rozszerzyły, usta rozchyliły, a twarz pojaśniała.

- Proszę mi wypożyczyć pańską furgonetkę. Albo którąś z tych stojących przed barem. Zapłacę... - urwała. - No, na razie nie mogę zapłacić, ale zrobię to jak najszybciej. Słowo.

- Nie chcę pani pieniędzy - obruszył się Adam.

- Śmiało - zakpił Tommy. - Niech weźmie jedną z naszych furgonetek. Na pewno nie ruszy z miejsca bez automatycznej skrzyni biegów, nawet gdyby miała obie nogi zdrowe.

- Umieć posługiwać się zwykłą skrzynią biegów - powiedziała Iris. - A moje nogi są w porządku.

Odeszła od stołu, nie podpierając się laską. Adam zauważył błysk w jej oku.

- Widzicie? Mogę chodzić. Mogę też prowadzić furgonetkę, którą mi dacie. Bardzo proszę.

- Do Rainbow jest czternaście kilometrów - rzekł Adam. - Drugie tyle z powrotem. Czy zdaje sobie pani sprawę, ile razy trzeba zmieniać biegi w wyboistym terenie? Trwale uszkodzi sobie pani kostkę.

- Poradzę sobie - upierała się Iris.

- Daj jej którąś furgonetkę, Adamie. - Tommy z uśmiechem mrugał na kolegów. - Chcę to zobaczyć.

Muszę wyjść na zewnątrz, pomyślał ponuro Adam. Natychmiast muszę znaleźć się tam, gdzie jest otwarta przestrzeń i cisza. O Boże, to nie nawiedzało mnie już od lat. Przynajmniej od czasu ostatniej wizyty w Bostonie. Dlaczego teraz wróciło?

- Dobrze - powiedział - proszę wziąć Esmeraldę.

Wyciągnął z kieszeni kolko z kluczami. Zwykle srebrne kółko bez żadnych ozdób czy przywieszek. Były tam cztery klucze.

- Ten jest od stacyjki - powiedział, oddzielając jeden

- pozostałe do drzwiczek. Esmeralda stoi po drugiej stronie głównego budynku. Czy jest pani pewna, że tego właśnie chce?

Iris wyciągnęła rękę po kluczyki. Pilnowała się, by nie dotknąć jego palców.

- Jestem pewna.

Szkoda gadać. Esmeralda była stara.

Wdrapanie się do wysoko położonej kabiny samo w sobie stanowiło przeszkodę, nawet dla człowieka bez laski. Tapicerka była wygnieciona i spłowiała, lecz zdumiewająco czysta. Kluczyk gładko wsunął się do stacyjki, a silnik dał się uruchomić od pierwszego razu.

Iris poprawiła się na siedzeniu, zapięła pas i wyregulowała lusterka. Teraz, pomyślała. Jedno szybkie naciśnięcie na sprzęgło, żeby wrzucić jedynekę. Poczula ból. Zgrzyt metalu. Esmeralda skoczyła do przodu o ćwierć metra i stanęła. Silnik zgasł. Zapadła cisza.

- Cholera - powiedziała. Głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w starej kabinie. - Przepraszam, Esmeraldo. Cierpliwości. Postaram się, żeby się udało.

Oparła koniec laski o pedał sprzęgła. Jeśli pomaga mi chodzić, pomyślała, pomoże także jeździć. Ale jeśli będę trzymała jedną rękę na lasce, a drugą na dźwigni biegów, to zabraknie mi ręki do trzymania... Oparła podbródek o kierownicę.

- Tylko do chwili, kiedy ruszymy - powiedziała. - Jak już zaczniemy jechać, puszcę laskę i będę mogła kierować. Nie martw się, Esmeraldo, poradzimy sobie.

Przełączyła na luz i uruchomiła silnik. Pchnęła laskę, wrzuciła pierwszy bieg. Furgonetka zaczęła jechać alejką równoległą do baru. Kolejne pchnięcie laski i przytrzymanie kierownicy brodą. Drugi bieg... Znów rozległ się przeraźliwy zgrzyt, a Esmeralda zamarła z maską wysuniętą na środek głównej ulicy.

- Nie spodziewam się - odezwał się stojący na progu baru Adam Freemont -. że zrezygnujesz z torturowania biednej Esmeraldy i pozwolisz mi zawieźć się do Rainbow.

Przez kilka ostatnich minut sprzeczkę w barze wydawał się napięty i nieswój. Teraz, na świeżym powietrzu, w promieniach słońca i z psem u

boku, znów wydawał się sobą. Niebieska koszula podkreślała jasną barwę oczu niebezpiecznie kontrastujących z czarnymi rzęsami i opalenizną. Między brwiami rysowała się wciąż cienka, lecz wyraźna linia.

- Esmeralda - wycodziła Iris - jest przedmiotem nieożywionym i nie odczuwa bólu. Nie torturuję jej. Daj mi spokój. I trzymaj tego psa z daleka ode mnie. - Ona również przeszła na „ty”.

Wzruszył ramionami i jedną ręką wykonał zachęcający gest.

- Zważywszy, że chcesz być sama... Kima, zostań. Potrzeba było trzech kolejnych prób, żeby wyprowadzić samochód na główną ulicę. Tymczasem zebrał się niewielki tłum złożony nie tylko z górników, lecz i przechodzących kobiet oraz kilkorga dzieci. Iris patrzyła przed siebie, twarz jej płonęła. Czekala, aż ból w kostce ustąpi na tyle, żeby mogła ponownie spróbować. Wtem usłyszała pukanie do kabiny.

- Mówiłam, żebyś zostawił mnie samą.

- Czy naprawdę nazywasz się Iris Merlin? - zaszczębiotał dziecięcy głosik. - Jak ta pani na portrecie w barze?

Iris obejrzała się. Za oknem zobaczyła główkę ze złotymi lokami. Wychyliła się i dostrzegła miodowe oczy w puciołowatej buzi. Dziewczynka siedmio-, może ośmioletnia o zaraźliwym uśmiechu. Pomimo wzburzenia i instynktownego niepokoju, jaki wywołał widok dziecka, Iris odwzajemniła uśmiech.

- Nazywam się Samantha - powiedziało dziecko. - Nie mów do mnie Sam, bo to imię dla chłopca, a nie dla dziewczynki.

- Rozumiem - odparła Iris.

- Reszta za bardzo się boi, żeby podejść i zapytać panią - wyjaśniła Samantha. - Ale ja nie boję się niczego. Czy pani naprawdę nazywa się Iris Merlin?

Iris popatrzyła na nią. Odejdź, pomyślała nagle. Zostaw mnie... O Boże, nie wytrzymam! Ilekroć widzę dziewczynkę taką jak ty, zastanawiam się, co byłoby ze mną, gdyby tata i mama...

Przestań, natychmiast przestań! Ojciec mnie kochał. Był silny i dzielny i chociaż nie zdążył mnie zobaczyć, nadał mi to imię. Chciał mnie i kochał. A ta pierwsza Iris Merlin, Tęczowa Narzeczona, też była dzielna w czasie epidemii, niezależnie od tego, co plecie na ten temat Donald Fontenot. Kochałaby mnie z całego serca. Przytuliłaby mnie i...

- Iris - rzekła niepewnie. - Nazywam się Iris Merlin.

- Dlaczego tak śmiesznie jedzie pani furgonetką Adama?

- Panna Merlin zwichnęła wczoraj nogę - odezwał się Adam, podchodząc bliżej do samochodu. Za nim ciągnęła cała procesja dzieciaków. - Żeby prowadzić taką furgonetkę jak Esmeralda, potrzebne są dwie zdrowe nogi, a panna Merlin usiłuje poradzić sobie jedną.

- Dlaczego? - dopytywała się Samantha.

- Adamie - zniecierpliwiła się Iris. - Czy mógłbyś ją stąd zabrać? I przy okazji całą resztę. Są tak blisko, że mogę im zrobić krzywdę.

- To - zauważył Adam - jest wypowiedź roku. Chodźcie, dzieciaki. Panna Merlin znów zamierza śmiesznie jechać.

- Ja chcę jechać razem z nią - oświadczyła Samantha. - Obejdę auto z drugiej strony i usiądę obok.

- Adam! - krzyknęła Iris. - Nie mogę zabrać ze sobą do Rainbow obcego dziecka!

- O co chodzi? - zdziwił się. - Nie lubisz dzieci?

- Nie - odparła odruchowo Iris. - To znaczy, oczywiście, że lubię dzieci. Po prostu mało miałam z nimi do czynienia. Nie wiem, co mam im powiedzieć.

Popatrzył na nią przez moment.

- Psy i dzieci - rzekł wreszcie. - Bardzo dziwne życie musisz prowadzić w tym Minneapolis, panno Merlin.

- Nie boję się dzieci - brpniła się Iris. - Po prostu... Hej, Samantha, czy byłabyś uprzejma wysiąść z auta? Nie mogę cię ze sobą zabrać.

- Adam? - zapytała Samantha - Czy muszę?

- Tak - odparł. - Musisz. Panna Merlin wybiera się do Rainbow i chce tam pojechać sama.

- Rainbow? Tata zabierał mnie tam czasem, bo mama pracuje w sklepie w Tonopah i nie zawsze jest w domu. Mama mówi, że kiedy Adam znajdzie złoto w Rainbow, zbuduje dla nas plac zabaw z drabinkami, huśtawkami i karuzelą.

- Kiedyś na pewno - powiedział Adam. - No już, wysiadaj.

- Potrafię skoczyć. Popatrz!

Iris chciała ją złapać, lecz na próżno. Samantha skoczyła z wysokiej kabiny. Furgonetka zakołysała się, ciężkie drzwi zatrzasnęły się, mijając o centymetr złotą główkę dziecka. Iris cofnęła rękę w samą porę, by uniknąć zmiżdżenia palców.

- Samantha - odezwała się z bijącym sercem Iris. - To było niebezpieczne.

Tymczasem dziewczynka obiegnęła samochód dookoła i stanęła obok Adama. Osłoniwszy jedną ręką oczy od słońca, popatrzyła do góry.

- Czy mogę nazywać cię Iris? - spytała. - Wiesz, po grecku i po łacinie znaczy to „tęcza”. W dawnych czasach, kiedy ludzie wierzyli w bożków, była bogini tęczy, która miała na imię Iris. Nie sądzisz, że jestem bardzo mądra, skoro to wiem?

- Tak - odparła sucho Iris.

Adam przykucnął przy dziewczynce i położył jej dłoń na ramieniu.

- Jesteś lingwistycznym geniuszem i ekspertem od mitologii, uczennico drugiej klasy szkoły podstawowej w Felicity. Tak samo mistrzynią różnych sztuczek, które wpakują cię pewnego dnia w niezłe tarapaty. Nie sądzę, żeby panna Merlin miała coś przeciwko temu, żebyś mówiła do niej Iris. Prawda, panno Merlin?

Znów popatrzył na Iris. Dzieci zbiły się wokół niego. Nagle Adam uśmiechnął się. Linia między brwiami zniknęła. Białe zęby kontrastowały z opaloną twarzą. Gęste kędziory połyskiwały w słońcu odcieniami złota i brązu, niebiesko-szare oczy wydawały się jeszcze bardziej przezroczyście. Pewnie częściej chodził chmurny niż uśmiechnięty, lecz kiedy już się uśmiechnął, robiło to duże wrażenie.

- Nie - odparła - oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu.

- To dobrze - powiedział. Wyprostował się i wziął Samanthę za rękę. - Chodźcie wszyscy. Myślę, że lepiej będzie się odsunąć.

Cofnęli się. Iris odetchnęła głęboko, skupiła wzrok na wylocie ulicy i przekręciła kluczyk. Jednak ręce trzęsły się jej tak bardzo, a oczy były rozbiegane, że nie udało się wykonać sztuczki stopa-laska-broda. Szarpnięcie, zgrzyt i Esmeralda znów stanęła.

W tłumie roześmiał się jakiś mężczyzna. Iris drgnęła. Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała z rozpaczą. To nieważne, że się ze mnie śmieją. Nie dbam o to. Zamknęła oczy, zacisnęła zęby i po raz kolejny przekręciła kluczyk.

Rozrusznik kręcił w nieskończoność, lecz silnik nie dał się uruchomić. Wyglądało na to, że nawet poczciwa Esmeralda sprzysięgła się przeciwko niej. Kiedy wreszcie zaskoczył, Iris zdołała wrzucić pierwszy bieg, potem drugi. Jednak jazda do Rainbow cały czas na drugim biegu nie byłaby zbyt rozsądna. Złapała drążek zmiany biegów, przygotowała laskę i przytrzymała brodą kierownicę.

Prawie się udało. Na pewno by się udało, gdyby ze zdenerwowania nie spocły się jej dłonie. Gładka rączka laski wysliznęła się jej z ręki, sprzęgło gwałtownie odskoczyło, kierownica uderzyła ją w podbródek, a Esmeralda wykonała upokarzający skok i znów stanęła.

To było beznadziejne. Iris objęła kierownicę i pochyliła głowę, by nikt nie widział jej twarzy. Słyszała, jak ludzie rozmawiają i śmieją się. Najgorsza jednak była świadomość, że przez te kangurze skoki wzdłuż głównej ulicy musiała wyglądać śmiesznie. Gdybym patrzyła na to z boku, sama bym się śmiała, pomyślała z rozpaczą. O Boże! Co ja wyprawiam? Kostka znowu zaczyna mnie boleć i nigdy nie zdołam dotrzeć do Rainbow. W tej sytuacji nie uchronię prababci Iris przed kłamstwami Donalda Fontenota. Nie zdołam.

- Iris.

To był głos Adama Freemonta. Iris mocniej wtuliła twarz w ramiona. Miał rację, proponując, że mnie zawiezie. Ja nie chcę jego pomocy, a jednocześnie nie mogę się bez niej obejść. Jeżeli zauważy, że płakałam...

- Iris, daj spokój. Spójrz na mnie.

Otarła oczy ręką i niechętnie podniosła głowę.

- Proszę bardzo - odezwała się. - Patrzę na ciebie. Ćwiczę mój nowy komediowy numer. Chyba wszyscy mieszkańcy winni mi są za występ mnóstwo pieniędzy.

- Wszyscy śmiali się przyjaźnie - odparł.

- Ten człowiek w barze wcale nie - rzekła z goryczą. - Nie pamiętam, jak się nazywa.

- Tommy Kiilian - wyjaśnił spokojnie Adam. - Samantha jest jego córką. Plan uruchomienia kopalni wiele dla niego znaczy. Mówiłem, że zawiozę cię do Rainbow.

- I będziesz czuwał, żebym nie wpadła do szybu.

- Nie mam na to czasu. Posłuchaj, będę cię woził, dopóki nie będziesz mogła samodzielnie prowadzić Esmeraldy. Potem używaj jej przez czas pobytu u nas. Ale nie mogę wstrzymać prac. Będziesz musiała troszczyć się o siebie sama.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie Adam sięgnął i odsunął jej kosmyk z twarzy. Kiedy dotknął jej, poczuła uderzenie gorąca.

- Nie płacz... - zaczął cicho.

- Wcale nie płaczę.

- Oczywiście, że nie. - Cofnął rękę. - Pomyliłem się.

- Znajdę ten naszyjnik. Nawet gdybym musiała go szukać w obecności twojej, twojego psa i Tommy'ego Killiana.

- Mam nadzieję.

- Czy możemy już jechać?

- Za pół godziny - odparł. - Pójdiesz do Leny Maxon, żeby przygotowała lunch, a ja wezmę narzędzia. Chyba że wolisz kopać gołymi rękami.

- Gdybym musiała... Adamie? Zdażył już odejść kilka kroków.

- Słucham.

- Dziękuję.

- Niektóre miejsca zostały rozkopane. Zaczęliśmy wiercenia we wschodniej części Rainbow. Naszyjnik mógł przepaść na zawsze. Ale może znajdziemy go przed tobą.

- Wiem, dziękuję, że dałeś mi szansę.

Uśmiechnął się. Właściwie to nie był uśmiech, tylko lekkie drgnięcie ust.

- Nie jestem pewien, czy miałem jakiś wybór.

ROZDZIAŁ TRZECI

- To jeszcze niczego nie znalazłaś? - zdziwiła się Lena Maxon. - Poczęstuj się drożdżówką z cynamonem... Szukałaś przez dwa tygodnie, a jutro wyjeżdżasz.

- Wiem - odparła Iris.

- Och, kochanie, chętnie bym cię zatrzymała przez całe lato, niezależnie od pieniędzy, ale sami ledwo wiążemy koniec z końcem. Kiedy tylko Adam uruchomi kopalnię w Rainbow...

- Nie kończ - przerwała jej Iris. - Wiem. Kiedy Adam uruchomi kopalnię w Rainbow, wszyscy w Felicity zazną prosperity.

- Ach, to twoje słownictwo - uśmiechnęła się wyrozumiale Lena. - Chciałam powiedzieć, że kiedy Adam uruchomi kopalnię w Rainbow, Felicity rozpocznie kampanię w mediach. Reklamy telewizyjne, kolorowe broszurki i tak dalej. Harry mówi, że kiedy to się zacznie, zjedzie tak dużo ludzi, że trzeba będzie dobudować pokoje.

- Czy to wszystko obiecał wam Adam?

- No, niezupełnie. Ale potrzeba nam ruchu turystycznego, a wszyscy wiedzą, że Adam zamierza zaspokoić potrzeby Felicity złotem z Rainbow.

- To chyba niewiele mu zostanie. Lena roześmiała się.

- Chyba o to nie dba. Zależy mu głównie na poszukiwaniu złota. Kiedy Adam był mały, chodził tylko za weteranami i słuchał opowieści o zaginionych żyłach i duchach poszukiwaczy. Potem wyjechał stąd, a kiedy wrócił...

- Wyjechał? Myślałam, że spędził tu całe życie. Dokąd wyjechał?

- Jak to, dokąd? Do Bostonu. Nie mówił ci? To o czym rozmawialiście przez te dwa tygodnie?

- O niczym - odparła lapidarnie Iris. - Widzisz, jestem wdzięczna, że pożyczył mi Esmeraldę i wykrywacz metali. Usiłowałam być przyjacielska, a Adam, oczywiście, jak zwykle zachowywał się uprzejmie, ale z pewnością nie jest typem gawędziarza. Po jakie лихо jeździł do Bostonu? To nie jest odpowiednie miejsce dla niego.

Lena wzięła drożdżówkę i zlizwała lukier.

- Rzeczywiście, Adam nigdy nie był zbyt gadatliwy. Zwłaszcza na własny temat. Szczególnie, odkąd wrócił.

- Zabrzmiało to tak, jakby siedział w więzieniu.

- Następna trafna uwaga. Widzisz, on kocha Nevadę. Włóczył się po pustyni i marzył o znalezieniu żyły, o której opowiadali starzy górnicy. Kiedy miał osiem czy dziewięć lat, jego rodzice przeprowadzili rozwód, a matka zabrała go siłą do Bostonu. Pochodziła stamtąd i zawsze ją tam ciągnęło, odkąd biedny Tom Freemont przywiózł ją do Nevady.

- Czy Adam nigdy nie odwiedzał ojca?

- Nie wiem. Tom przeprowadził się na Alaskę. Nie widziałam Adama od dnia, kiedy Catherine Freemont wywoziła go z miasta. Sztywny i nastroszony na tylnym siedzeniu jej samochodu udawał, że nie płacze... Straciłam go z oczu aż do chwili, kiedy chłodny i opanowany wrócił do miasta i zaczął budować dom na końcu ulicy Wingfield. Oczywiście przez kilka lat przyjeżdżał tylko na weekendy, bo chodził do szkoły w Reno i dostał jakiś szykowny dyplom górniczy, tylko po to, żeby znów włóczyć się z grzechotnikami po pustyni. Ale nawet po tym, jak... - urwała. - Czy ty mnie słuchasz? Harry ma rację, nazywając mnie największą plotkarą w całym hrabstwie. No więc, kochanie, co zamierzasz zrobić?

Nawet po czym? - zastanawiała się w milczeniu Iris. Co się takiego stało, że Adam zareagował tak dziwnie, kiedy próbowałam się z nim sprzeczać? I jaki był przedtem?

- Iris?

Iris podskoczyła.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Co zamierzasz zrobić, skoro nie znalazłaś naszyjnika, a nadchodzi pora wyjazdu?

- Nie muszę jechać już jutro. Przede mną jeszcze jeden dzień. Adam obiecał zawieźć mnie do Rainbow. Chyba chce uczcić fakt, że wreszcie wyjeżdżam.

- A to będzie historia, jak go jutro znajdziesz - rozmarzyła się Lena. - Ostatniego dnia, w ostatnim momencie. Wspaniały, podniecający happy end.

- Mniej książkowe, a bardziej praktyczne zakończenie wystarczy mi w zupełności - odparła Iris.

Iris siedziała sztywno w kabinie Esmeraldy, starając się nie myśleć o siedzącym z tyłu psie. Adam Freemont włożył skórzaną bluzę ozdobioną paciorkami.

- Wiesz - odezwała się Iris - dowiedziałam się, jak dorastałeś w Bostonie. Jak sobie tam radziłeś.

Zerknął na nią przelotnie. Esmeralda sunęła płynnie przez bezdroża.

- Kto ci o tym powiedział?

- Zgadnij. Do trzech razy sztuka.

- Oczywiście Lena. Powinienem być raczej zdumiony, że trwało to tak długo.

- Dlaczego usiłowałaś to ukryć?

- Skoro wiedziała o tym Lena Maxon, trudno posądzać mnie o robienie z tego tajemnicy. Po prostu nie rozpowiadam o sobie na prawo i lewo.

- Czy twoja matka żyje?

- Tak.

- Odwiedzasz ją? W tej kozłowej bluzie i z dzikim psem u boku?

- Nie.

- Nie odwiedzasz jej, czy nie bierzesz ze sobą psa?

- Od samego rana jesteś bardzo wścibska. Mam nadzieję, że nie zostanie ci to na resztę dnia.

- Właściwie - odparła z przekąsem Iris - to zamierzam przepytac każdą jaszczurkę i dzikiego królika oraz wszystkie węże, jakie spotkam. Nie będzie cię w pobliżu, więc cóż mi pozostaje?

Popatrzył na nią z błyskiem rozbawienia w oku.

- Zamierzam zostać z tobą - powiedział. - Myślę, że wiercenia mogą przez jeden dzień odbywać się beze mnie. Skoro jutro... No cóż, pomyślałem, że przyda ci się pomoc.

- Poważnie?

- Poważnie.

- Zrobisz wszystko, o co cię poproszę? Dostrzegła kolejny błysk rozbawienia w jego oczach.

- Co tylko zechcesz! - Esmeralda zatrzymała się na zachodnim krańcu czegoś, co było niegdyś główną ulicą Rainbow. - Jesteśmy. Od czego chciałabyś zacząć?

Było to tak zaskakujące, że Iris zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze - rzekła wreszcie. - Chciałabym, żebyś przeszukał wszystko, co zostało z miasta i resztki budynków.

Chodziłam tam w kółko i jeśli coś przeoczyłam, nie znajdę i tym razem.

- Świetny pomysł. A co ty będziesz robiła?

- Przeszukam jak największą przestrzeń wykrywaczem metalu. Babka Iris została sama wśród chorych, jej mąż zmarł, więc pewnie chciała czasem

gdzieś pójść. Zapewne spacerowała w nocy, kiedy było chłodniej. Może miała jakieś szczególne miejsce, w którym ukryła naszyjnik.

- Bądź ostrożna - rzekł łagodnie.

- Nie zamierzam wchodzić do otwartych szybów - zaperzyła się Iris. Potem zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. - Przepraszam. To tylko... Mniejsza z tym. Weźmy się do roboty.

Słońce przeszło już połowę swojej drogi po niebie, kiedy znalazła coś, czego nie było na żadnej mapie.

Nic wielkiego, dziura w ziemi niemal zupełnie zakryta pustynnymi krzewami. Było to jednak niewątpliwie dzieło ludzkiej ręki. Obramowanie ze zmurszałego drewna wyglądało, jakby miało zawalić się w każdej chwili.

Iris przeszukała torebkę przy pasie. Butelka z wodą, dietetyczne ciasteczka czekoladowe. Trzy kamienie z naszyjnika jako talizman na szczęście. No i latarka.

Najzwyklejsza latarka, nie żaden tam silny reflektor, jaki woził ze sobą Adam. Jednak, gdy skierowała ją do dziury i włączyła, zaświeciła wystarczająco jasnym promieniem. Mogła dostrzec grubą warstwę kurzu oraz kolejne stemple i coś, co wyglądało na biegnący poziomo korytarz.

- To jest to miejsce - powiedziała głośno. - Ja to wiem, czuję to. Och, babciu Iris, może Lena doczeka się podniecającego zakończenia. A to dopiero zdziwi się pan Adam-nie-wpadnij-do-dziury-Freemont.

Odłożyła wykrywacz metali, wsadziła latarkę do torby i wspięła się do otworu. Kostka nadal ją bolała, kiedy opierała na niej cały ciężar, ale to był już drobiazg. Kiedy stanęła mocno na dnie szybu starej kopalni, wyjęła latarkę i znów ją zaświeciła.

- Och.

Główny tunel ciągnął się daleko poza zasięg latarki. Jednak parę metrów od wejścia drugi tunel skręcał w... Iris popatrzyła na nadgarstki... w lewo. Metr dalej widać było kolejne odgałęzienie w lewo, a tuż za nim w prawo.

- To istny labirynt - powiedziała. Jej głos wydawał się pobrzmiwać echem ze wszystkich kierunków. - Tunel może ciągnąć się kilometrami. Ale to znakomite miejsce do ukrycia czegoś. W którą stronę poszłaś, babciu Iris? W którą zawróciłaś?

Oczywiście, nie było żadnej odpowiedzi. Raz jeszcze zerknęła na nadgarstki. Lewy nosił stare, białe blizny po psich zębach. A więc w lewo.

Ciasteczka czekoladowe pomogą jej odnaleźć drogę powrotną. Wyjmowała jedno za każdym razem, kiedy skręcała. Nadgryzione

oznaczało skręt w lewo, całe skręt w prawo. Wracając, pomyślała, będę po prostu skręcała odwrotnie. To proste.

Tunele rozwidlały się jeden za drugim i w świetle latarki wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Na pokrytej kurzem ziemi znajdowała od czasu do czasu pamiątki po dawnych czasach: świeczniki, porzucone kilofy. Nie było jednak śladu Tęczowej Narzeczony ani miejsca, gdzie mógłby być ukryty naszyjnik, ale przecucie Iris, że trafiła na właściwy trop, było silniejsze z każdą chwilą.

Muszę mieć mapę tych tuneli, pomyślała. Przeszukam je wtedy po kolei. Bo tu jest schowany naszyjnik. Wiem o tym.

Lot mam jutro o drugiej. Zostało mi około pięciu dolarów, bo po odliczeniu biletów lotniczych, wynajęciu samochodu, wizycie w klinice w Tonopah i rachunku u Leny, moja Visa karta jest pusta. Nie pozostaje mi nic, tylko wracać do Minneapolis. O Boże, to niesprawiedliwe, że znalazłam to miejsce ostatniego dnia.

Może po powrocie do domu uda mi się pożyczyć nieco pieniędzy, żeby tu wrócić. Spotkam się z Helen Kennedy z działu kredytów. Sprzedam samochód. Sprzedam moje książki. Sprzedam moją cnotę, jak te panie na zapleczu baru Handshake. No, może nie. Coś wymyślę. Jestem za blisko, żeby się poddać.

Skręt w lewo. Nadgryźć ciasteczko. .

Zostały jej dwa ciasteczka, kiedy latarka zgasła.

Zatrzymała się, potrząsnęła latarką, uderzyła w nią ręką, światło zapaliło się na dość długo, by jej dać złudną nadzieję. Potem jednak zgasło na dobre.

Iris przez zaciśnięte zęby wymamrotała słowo, którego nie nauczyła się w bibliotece.

- W porządku - rzekła głośno. - Nie panikuj. Odwróć się i odnajdź drogę tropem ciasteczek.

W zupełnych ciemnościach szła z rękami wyciągniętymi przed siebie jak lunatyk. Na każdym skrzyżowaniu podnosiła ciasteczko, badając, czy nie jest nadgryzione i ustaliwszy, na której ręce ma blizny, skręcała we właściwym kierunku. Była tak metodyczna i pewna swego, że nie mogła wprost uwierzyć, kiedy wyrosła przed nią ślepa ściana tunelu.

- Nie - powiedziała. - Przecież byłam taka ostrożna.

Pospiesznie wycofała się ze ślepego tunelu, walcząc z narastającą świadomością, że oto otwiera się przed nią nieskończona płatanina korytarzy. Zatrzymała się przy pierwszym rozwidleniu.

Czy to tutaj poszłam w złym kierunku? A może na poprzednim skrawie albo jeszcze wcześniej? Nigdy nie znajdę drogi powrotnej. Nigdy...

Przestań! Trzymaj nerwy na wodzy. Po pierwsze, musisz oznaczyć miejsce, w którym się znajdujesz. Po drugie...

Usłyszała dźwięk dobiegający gdzieś z tunelu. Iris zamarła i wstrzymała oddech.

Drapanie pazurów o zakurzoną ziemię. Cichy odgłos węszenia. Potem znów stukot łap. Pies? Czy to pies Adama? Jeśli to młody husky Adama, to i tak jest bardzo źle, zważywszy na panującą w tunelu ciasnotę. Iris przymknęła oczy i wtuliła się w ścianę.

- K-Kima? - zawołała. Głos miała ochryply i piskliwy. - To ty, Kimantsi?

Odgłos łap był coraz bliższy. Iris słyszała sapanie psa. Nagle gęste tatro otarło się o jej nogi. W przystępie paniki schowała się do ślepego tunelu.

- Nie - jęknęła. - Nie, Kima. Wiem, że cię zawołałam, ale nie podchodź bliżej. Śmiertelnie mnie przerażasz. Rozumiesz? Chciałabym, żebyś pokazała mi drogę, ale nie chcę, żebyś mnie dotykała. O Boże, nie mogę uwierzyć, że usiłuję dogadać się z psem.

Pies pisnął cichutko. Iris usłyszała, że się oddala.

- Kima! Czekaj! - Wygramoliła się z tunelu. - Nie chciałam, żebyś sobie poszła. Nie tak szybko. Nie mogę...

Zobaczyła błysk światła.

- Adam?

- Tu jestem - odpowiedział.

Światło było coraz jaśniejsze i kołysało się w rytm jego kroków. Iris z westchnieniem ulgi zerwała się i popędziła w tym kierunku. Na rozwidleniu wpadła na Adama. Latarka wypadła mu z ręki i roztrzaskała się o ścianę. Zapadła ciemność.

- Wspaniale - powiedział Adam tonem, z którego trudno było wywnioskować, czy jest skłonny kłąć, czy raczej się śmiać. - Teraz oboje siedzimy po ciemku. Jednak dzięki temu obie ręce mam wolne.

Ujął jej twarz w obie ręce i pocałował.

Na ułamek sekundy wszystko zamarło, tak jak wtedy na pustyni. Potem serce zaczęło jej bić na nowo, krew krążyć w żyłach, a cały system nerwowy przekazywać nowe doznania. Trzymała Adama w pasie, choć nie pamiętała chwili, w której go objęła. Delikatna skóra bluzy uniosła się w górę i czuła pod palcami gładkie, twarde ciało, wciąż jeszcze rozgrzane żarem pustynnego słońca.

Oderwał od niej usta.

- Smakujesz czekoladę - powiedział. - Czy to dlatego zapuszczasz się tu bez latarki? Żeby opychać się batonikami?

Iris nic nie widziała. Czowała jedynie lekki dotyk jego palców na policzkach, wdychała otaczającą go lekką woń szaławii i słuchała jego głosu. A w głosie Adama Freemonta było coś urzekającego. Zwłaszcza kiedy ciemności oddzieliły ją od jego twarzy, od ascetycznej linii podbródka, sposobu, w jaki marszczył brwi.

- Latarka mi zgasła - wyjaśniła, przywołując resztki godności. - Jednak oznaczyłam wszystkie zakrety nadgryzionymi lub całymi ciasteczkami w czekoladzie. Mogłabym sama znaleźć drogę powrotną, wielkie dzięki.

- Jestem tego pewien.

Odwrócił się w jej stronę, ale nie pocałował jej. W ciemnościach badał jedynie swymi ustami kształt jej warg, jakby chciał zapamiętać każdy milimetr. Wcale się przy tym nie spieszył. Iris zamknęła oczy.

- Nawet nie zamierzam pytać, w jaki sposób chciałaś oznaczać drogę powrotną, gryząc ciasteczka - powiedział w końcu. Przesunął palcami po jej policzku. - Śmiertelnie mnie wystraszyłaś. Kiedy znalazłem porzucony wykrywacz metalu, omal nie dostałem ataku serca.

- Potrafię zadbać o siebie.

- Aha, Zosia-Samosia.

- Czy wiedziałaś o tej starej kopalni?

- Nie, nie ma jej na żadnej mapie.

- Gdzieś tu jest naszyjnik. Schowała go tu, czuję to. Dotknął jej ust. Wydawało się, że chce dotknąć słów, utwierdzić się w ich znaczeniu.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Chodźmy, potrzebujemy więcej światła.

- Iris - powiedział. Głos mu się zmienił, zrobił się bardziej matowy. - Poczekaj chwilkę. Miałaś swoje dwa tygodnie. Nie znalazłaś naszyjnika w Rainbow, nie znajdziesz go tu w ciągu tych kilku godzin. Dlaczego nie dasz za wygraną? Czy nie moglibyśmy spędzić ostatniego wieczoru...

- Nie - przerwała mu. - Nie zrezygnuję. Myślałam, że mnie rozumiesz. To wszystko, co Donald Fontenot powypisywał o mojej prababce, to kłamstwa i udowodnienie tego jest dla mnie bardzo ważne.

- Ważniejsze nawet niż to?

Iris zaczęła się odwracać, wyciągając ręce, by po omacku szukać drogi. Znów pochwycił ją w objęcia i przez chwilę podziwiała, że tak szybko i precyzyjnie potrafi poruszać się w ciemnościach. Potem to uczucie i logiczne myślenie zatarł pocałunek zupełnie odmienny od poprzednich - pocałunek, który jakby wyrwał się mu spod kontroli.

Zgasło wszystko, prócz zmysłowych doznań. Czowała miękką ścianę tunelu, do której ją przyciskał. Słyszała szelest materiału ocierającego się o materiał. Dźwięk jej paznokci przesuwających się po jego bluzie. Zapach i smak ich ciał, żar jego ust, śladowy posmak czekolady, woń wyprawionej skóry i szaławii.

W podświadomości Iris rozległ się jednak ledwo dosłyszalny szept: przestań... przestań. Nikogo nie potrzebujesz, nie pragniesz, nie kochasz. Miłość powoduje jedynie ból. Nie zapominaj, jak bardzo potrzebowałaś rodziców, a oni cię zignorowali, poszli do innego pokoju i zamknęli drzwi. Przedtem potrafiłaś się powstrzymać, powstrzymaj się i teraz. Przestań.

Odwróciła głowę. Sama nie wiedziała, skąd wzięła tyle siły.

- Go właściwie miało oznaczać „to”? - spytała drżącym głosem. - Coś w rodzaju ostatniej nocy w Felicity? Tylko dlatego, że siedziałam tu w ciemnościach, a Adam Freemont i jego wspianiały pies znaleźli mnie, nie oznacza, że padnę ci w ramiona, oferując w nagrodę swe wdzięki niczym uratowane przed smokiem głupawe średniowieczne dziewice.

Natychmiast wypuścił ją z objęć. O jego obecności świadczył teraz jedynie wzburzony oddech.

- Twoje... wdzięki - rzekł - choć jak podejrzewam wspianiałe, nie były akurat tym, co miałem na myśli. Chodziło mi o coś mniej... poufałego

Po tym, jak z jej ust padły ostre słowa chroniące ją przed zbytnią poufałością, ze zdumieniem stwierdziła, że czuje narastającą kulę w gardle, bezradność człowieka odrzuconego i niechcianego. Iris przełknęła ślinę i zamknęła oczy, by powstrzymać napływające łzy.

- No cóż, niezależnie od tego, co miałeś na myśli - odezwała się, gdy opanowała drżenie głosu - oboje mamy ważniejsze sprawy do zrobienia, niż świętowanie mojej ostatniej nocy w Felicity. Wiem, że obiecywałam, iż nie będę nalegała o zmianę harmonogramu prac, ale mam prośbę. Bardzo proszę, żebyś nie wiercił tutaj. Przynajmniej na razie. Wem, że muszę jutro wyjechać, ale wrócę. Przysięgam, że znajdę sposób, by tu wrócić. Wstrzymaj się z wierceniami, błagam. Przez chwilę panowała cisza.

- Zgodnie z harmonogramem przeniesiemy się do tej strefy, kiedy tylko otrzymamy potwierdzenie badań odwiertów ze strefy trzeciej - powiedział w końcu, cedząc słowa. - Te stare tunele oznaczają, że było tu kiedyś złoto. Nawet jeśli zostały wyeksploatowane podczas pierwszej gorączki złota, to dzięki nowoczesnym metodom wydobywczym mogą przynieść fortunę. Potrzebujemy spektakularnego sukcesu, Iris. Wiem, że Rainbow otaczają pokłady złotonośne, ale do tej pory rezultaty nie były zbyt zachęcające.

- Może wyniki badań będą dobre.

- Możliwe, ale i tak muszę zacząć wiercić tutaj. Potrzebuję czegoś więcej niż dobrych wyników, czegoś wręcz błyskotliwego, żeby podtrzymało zainteresowanie Eagle Valley tymi terenami.

- Eagle Valley?

- Eagle Valley Minerals, firma z Carson. Mają kupić czterdzieści procent naszych akcji. Przy odpowiednich wynikach podejmą właściwą decyzję. To oznacza solidny zysk dla wszystkich, którzy zainwestowali w Rainbow, i więcej pieniędzy na dalszy rozwój.

- To znaczy na zbudowanie przychodni i sprowadzenie lekarza, budowę szkoły i biblioteki, urządzenie placu zabaw z drabinkami - powiedziała Iris.

- A także na odnowienie zabytkowych budynków.

- Mam taką nadzieję. Moje układy z ludźmi z Eagle Valley są obecnie bardzo kruche.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Bo to nie była twoja sprawa - wyjaśnił. - Przynajmniej dotychczas.

Przypominała sobie, co mówiła Lena, Samantha i ludzie z baru Handshake. Mogła przeciwstawić im jedynie samotną walkę o prawdę, sprawiedliwość i naszyjnik, który miał przywrócić dobre imię tamtej Iris. Czy mogła ją zawieść? Nigdy.

- Ależ, Adamie - szepnęła - wiem, że znalezienie złota oznacza mnóstwo wspaniałych rzeczy dla mieszkańców Felicity, i sama gorąco tego pragnę. Boże, nie chciałabym pokrzyżować waszych planów, ale wiem, że naszyjnik jest tutaj. Muszę jedynie...

- Musimy kontynuować badania - odezwał się nieswoim głosem Adam. - Poproszę zarząd o nieco zwłoki, ale nie mogę nic obiecać... O Boże!

- Co?! - krzyknęła wystraszona jego głosem. - Co ci się stało? Mówisz tak jakoś...

- Nic - odparł szorstko. - To nic. Nieważne. Chodźmy stąd.

- Ale...

- Trzymaj się blisko mnie - rzucił. - Kima? Kima wracaj. Grzeczna suńka. Nie pozostało jej nic innego, jak podążać za nim. Kiedy dotarli do wejścia, kwadrat nieba nad głową zaczął ciemnieć. W półmroku Adam podsadził Kimantsi, potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Iris.

- Nie. Idź pierwszy.

Spodziewała się, że zaprotestuje, lecz pomyliła się. Zawahał się przez moment. Głęboka bruzda między brwiami, zaciśnięte usta, wszystko to sprawiało, że trudno jej było uwierzyć, że z nią normalnie rozmawiał, nie mówiąc o namiętnych pocałunkach. Patrzyła na niego zdumiona i nieco przestraszona.

- Bardzo mi pomożesz, upewniając mnie, że kiedy wytknę głowę z dziury, nie znajdę się oko w oko z przyjacielsko nastawioną Kimantsi. Idź, Adamie. Pospiesz się.

Wahał się jeszcze przez chwilę, potem sięgnął niepewnie do ocebrowania. Po raz pierwszy zobaczyła, że robi coś niezręcznie. Potem zacisnął palce i wydzwignął się w górę.

- W porządku. Kima poszła. Chodź.

Sięgnął po nią. Odrzucenie jego pomocy było bezsensowne, więc złapała go za rękę. Skórę miał gorącą. Iris znalazła miejsce na postawienie stopy i podciągnęła się.

- Adamie - powiedziała. Waśnie ruszył w stronę Rainbow. Zatrzymała się, by podnieść wykrywacz metalu i pobiegła, żeby go dogonić. - Adamie, co się stało? Jesteś chory?

- Nie, nie jestem chory.

- Wiem, że nie lubisz się spierać. Ale przecież nie kłóciliśmy się. Przynajmniej nie miałam takiego zamiaru. Powiedz coś!

- Kłótnie - rzekł gorzkim tonem. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem. - To nie sprawa kłótni. Chodzi o coś bardziej skomplikowanego. Czasem, kiedy... o Boże, nie potrafię tego wyjaśnić.

Doszli do furgonetki. Adam chwycił klapę skrzyni i przywarł do auta, jakby to był jedyny przedmiot przynoszący mu ulgę.

- Kima - powiedział. - Gdzie jest Kima?

- Jest na skrzyni furgonetki. Nie widzisz jej?

- Boli mnie głowa - mruknął tak niewyraźnie, że z trudem go zrozumiała.

- Ten ból nazywają pourazowym. Przychodzi nagle, zakłóca widzenie. Chyba nie zdołam... Jeśli chcesz wrócić do Felicity, będziesz musiała prowadzić sama.

- Oczywiście. Zawiozę cię do Tonopah, do lekarza.

- Nie, lekarz nie pomoże.

- A co pomoże?

- Spokój... dom.

Objęła go w pasie. Wszystkie mięśnie miał napięte i drżał. Był o wiele wyższy i silniejszy od niej. Bez wysiłku niósł ją prawie przez kilometr. A teraz, pomyślała, podtrzymuję go ja, Iris Merlin, bibliotekarka z Minneapolis, która zawsze starała się dodać sobie ze dwa centymetry wzrostu. Skąd wziął się ten atak? Co mogę na to poradzić? Dobry Boże, co mam zrobić, żeby Adam znowu stał się sobą?

Dotaszczyła go do drzwi kabiny.

- W porządku. Zawiozę cię do domu.

- Czekał, Kima.

- Kima siedzi na skrzyni.

- Nie może' jechać bez uprząży. To zbyt ryzykowne. Poczekaj ...

- Nie, włącz do środka i siedź spokojnie. Ja to zrobię. Adam wydał dziwny dźwięk. Kiedy popatrzyła na niego, domyślała się, że miał to być śmiech, zdławiony niestety przez ból.

- Ty? Ty nie możesz nawet... spojrzeć na nią.

- Włącz do tej cholernej ciężarówki - powtórzyła ponuro. - Potrafię wszystko, gdy tylko zechcę.

Znów wydał ten dźwięk i opadł na siedzenie.

- Powiedz „zostań”, a będzie siedziała bez ruchu.

Iris zatrasnęła drzwi i podeszła do opuszczonej tylnej klapy. Kiedy Kima zobaczyła ją, poderwała się z miejsca. Iris cofnęła się.

- K-Kima. Dobra psinka. Zostań, Kima, zostań... Kima rozejrzała się ostrożnie wokół, ale posłusznie przywarowała. Iris wspięła się na skrzynię.

- Teraz - powiedziała - założę ci uprząż. Adam powiedział, że mogę to spokojnie zrobić. Adam. Poznajesz to imię?

Martwi się o ciebie i chce, żebyś była bezpieczna. Siedź spokojnie. Kima, zostań.

Pies zastygł jak skała. Iris wyciągnęła rękę, poczuła ucisk w gardle, żołądek podszedł jej do serca. Po trwającej w nieskończoność chwili dotknęła gęstego, szarego futra. Było zdumiewająco miękkie. Pod spodem kryły się mięśnie i kości.

„Mówiłem jej, żeby trzymała się z dala od psa. Wydaje się, że za każdym razem, kiedy chcemy spędzić ze sobą trochę czasu, to dziecko zawsze znajdzie sposób..

Iris zamknęła oczy i zacisnęła zęby, zmuszając się, by nie cofnąć ręki. Pies nie wydał dźwięku i ani drgnął. Otworzyła oczy. Ucisk w gardle nieco ustąpił.

- Zostań, Kima - powtórzyła szeptem. - Założę ci teraz uprząż. Widzisz? To przełożymy przez twoją głowę, najpierw jedna łapa... teraz z drugiej strony... Dobra dziewczynka. Zostań, Kima.

Drżącymi rękami założyła uprząż i przypięła końce do uchwytów. Potem wycofała się tyłem z platformy i zatrzasnęła klapę. Przez chwilę pozostała oparta o nią, nie mając siły się ruszyć.

- Zrobiłam to - szepnęła do siebie. - Dotknęłam jej. Teraz muszę odwieźć Adama do domu. Zapewnić mu bezpieczeństwo. Jeśli nie wrócę tu dzisiejszej nocy, by przeszukać tunel, nie wrócę tu nigdy. O Boże, co się ze mną dzieje? Dlaczego sama nie wiem, czego chcę?

Esmeralda jechała posłuszna dwóm rękóm nie obarczonym laską i dwóm zdrowym stopom. W ciemnościach Adam kilka razy podał kierunek, dopóki nie dotarli do szosy. Wtedy zamilkł, oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Cienie ostro rysowały się na jego twarzy.

Kiedy wreszcie zatrzymała się przed jego domem, nie poruszył się, nawet nie otworzył oczu. Wreszcie po prostu położył na siedzeniu rękę, wewnętrzną stroną dłoni do góry. Na wpół zaciśnięte palce i gładka skóra dłoni robiły wzduszająco bezbronne wrażenie.

- Chciałbym, żebyśmy byli... tylko we dwoje - powiedział.

Jakakolwiek odpowiedź z jej strony była, rzecz jasna, niebezpieczna. Jeszcze bardziej niebezpieczne byłoby przyznać się przed sobą, że również mogłaby pragnąć tego samego. Cóż więc pozostało jej, prócz odmowy? Jednak na krótką chwilę ujęła jego rękę.

- Po prostu udawajmy, że nic się nie stało - rzekła zachrypniętym głosem, bo w gardle jej zaschło. - Zaczynij odwierty w okolicy tuneli. Nie powinnam cię prosić, żebyś tego zaniechał.

- Przykro mi.

- Wiem. Mnie również, ale to jeszcze nie koniec. Ja tu wrócę.

Nie wiem jak, ale znajdę pieniądze, postanowiła. Sprzedam rzeczy, zapożyczę się, podejmę pracę do końca lata, ale znajdę sposób.

- Tunele mogą zniknąć. Testy nie potrważą dłużej niż kilka tygodni.

- Mimo to - powiedziała Iris. - Nawet jeśli wypadną pomyślnie, nie możesz kopać we wszystkich miejscach naraz. Zamierzam tu wrócić i wyprzedzić cię choćby o krok.

Przytrzymał przez chwilę jej dłoń.

- Chociaż to brzmi nieprawdopodobnie... zupełnie nieprawdopodobnie, to muszę powiedzieć... - urwał na chwilę i wziął głęboki wdech - muszę powiedzieć, że ci wierzę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie mówisz chyba lego serio, Adamie - odezwała się Caroline Wellcome. - Żaden z twoich dotychczasowych rezultatów nie jest tak dobry, jak się spodziewaliśmy, a ty chcesz opóźnić badania strefy czwartej?

- Zamierzamy jedynie sprawdzić szanse projektu Rainbow - wtrącił mężczyzna z drugiego końca stołu. - Jeśli próbki będą przynajmniej...

- Wiem, jakie macie plany - przerwał mu Adam.

Drepczący go przez całą noc ból głowy zmienił się w uciążliwy ucisk. Zmysły powróciły w stopniu pozwalającym mu na działanie. Kolory jednak wciąż wydawały się wyblakłe, przechodzące w barwne plamy. Dźwięki odbierał jako przytłumione. Czarny płyn w filiżance wcale nie miał smaku kawy. Palce były jak zdrewniałe.

- Do poprawienia przeciętnych wyników czeka cię jeszcze długa droga - znów zaczął mężczyzna.

- Marty, wiemy, co oznacza słowo „przeciętne” - przerwała mu Caroline Wellcome. - Ja wam mówię, że nie zrezygnujemy z Rainbow, dopóki testy nie zostaną zakończone. No dobrze, w czym problem?

- Chodzi o kobietę, która nazywa się Iris Merlin.

Iris. Iris zagubiona w tunelach starej kopalni. Iris w ciemnościach. Jej ręce wokół jego talii. Słodki smak czekolady. Kiedy się odwróciła, nie kontrolowany przyływ emocji. Jego własny głos: „Ważniejsze nawet niż to?”.

Jej smukłe ciało wparte w ścianę starego tunelu. Krew pulsująca w jego skroniach tak mocno, że gdyby nie odwróciła głowy, nie wiadomo, do czego mogłoby dojść. Spytała wtedy: „Co właściwie miało oznaczać «to»?”.

Pytanie bez odpowiedzi dla weterana niezliczonych bójek o to, co Tom i Catherine Freemont nazywali miłością. Sam nie miał pojęcia, co to miało oznaczać.

Zawsze jednak pozostawała mu pustynia. Pustynia, dom na Wingfield, Kimantsi i dzieci.

- ... po prostu śmieszne - mruzczał Marty. - Ta nowa strefa mogłaby dać wreszcie obiecujące rezultaty, a on chce opóźnienia badań.

Caroline Wellcome, nie patrząc na Adama, podniosła rękę.

- Kim jest Iris Merlin? To nazwisko brzmi swojsko... Adam nachmurzył się, drażnił go agresywny ton Caroline.

- Iris Merlin śpiewała w knajpach na przełomie stuleci. Była aż za dobrze znana w Rainbow i Felicity. Nazywali ją Tęczową Narzeczoną.

- Czy usiłujesz wmówić nam, że spotkałeś ducha?

- Nie - odparł Adam. - Oczywiście, że nie. To inna Iris Merlin. Prawnuczka tamtej, a raczej praprawnuczka.

- Czy podważa twoje prawa własności?

- To nie ma nic wspólnego z ziemią. Ona nawet nie mieszka w Nevadzie. Pochodzi z Minneapolis. Przyjechała do Felicity odnaleźć naszyjnik Tęczowej Narzeczonej.

- Naszyjnik? - zdumiała się Caroline Wellcome.

- To długa historia - wyjaśnił Adam. - Wszyscy zawsze byli przekonani, że Tęczowa Narzeczona wymknęła się nocą z Rainbow, zostawiając mieszkańców umierających na cholere.

- Zatem była tchórzem dbającym o własne zdrowie - zauważyła Caroline.

- I co z tego?

Adam poczuł niespodziewany przyływ złości.

- Lepiej, że ona tego nie słyszy. Współczesna Iris przysięga, że stare opowieści są nieprawdziwe, bo Iris Merlin została w Felicity i tam zmarła. Ta Iris sądzi, że zdoła udowodnić swoją tezę, jeśli znajdzie naszyjnik schowany gdzieś przez swą praprababkę.

- Jasne. Jak się domyślam - w strefie czwartej...

- Właśnie.

- Na ziemi, którą posiadasz.

- Tak.

- Jeśli ci bruździ, wezwij szeryfa.

- Ona mi nie bruździ. Dziś odlatuje do Minneapolis. Chce wrócić, ale nie stać jej na pobyt w Felicity przez całe lato.

Iris trzymająca go za rękę. Jej lekko zachrypnięty głos: „Po prostu udawajmy, że nic się nie stało...”

- Więc o co chodzi? - zdenerwowała się Caroline. Adam przycisnął dłonie do stołu.

- Powiedziałaś, że nadal jesteście zaangażowani w Rainbow. Bo i powinniście być. To w końcu przyniesie nieprawdopodobne bogactwo wam, stanowi Nevada, miastu Felicity i wszystkim ludziom zaangażowanym w ten projekt.

- Tobie również - zauważył Marty.

- Mnie również - przyznał Adam. - Jednak, żeby do tego doszło, potrzebujemy ludzi. Populacja Felicity, nie licząc dzieci, dochodzi w porywach do pięćdziesięciu osób. Jeśli prace mają ruszyć, potrzebujemy więcej ludzi.

- To prawda - przyznała Caroline.

- Powinniśmy przekonać ludzi, żeby przyjechali do nas. Może nam się to nie udać, jeśli Iris Merlin zacznie rozmawiać z dziennikarzami.

Caroline Wellcome była dość bystra, by to ze sobą powiązać.

- Do diabła, sądzisz, że to zrobi?

- Nawet jeśli nie będzie szukała rozgłosu, prasa ją znajdzie, kiedy tylko ukaze się książka Donalda Fontenota. Wówczas pojawią się publikację o jej współczesnej imienniczce, która wyruszyła na poszukiwanie naszyjnika, żeby zadać kłam książce.

- A jeśli nie wpuścimy jej do Rainbow - powiedziała powoli Caroline - zachowamy się jak pies ogrodnika. Niezbyt dobry sposób na przyciągnięcie ludzi.

Później Adam nie umiał powiedzieć, skąd wziął mu się ten pomysł. Być może sformułowanie „pies ogrodnika” skojarzyło mu się z melodramatycznymi historiami z pogranicza. I nagle zaświtała mu w głowie pewna idea, która załatwiłaby wszystkie problemy.

- Słuchajcie - powiedział. - Najpierw sprawdzimy wyniki ze strefy trzeciej. Potem zaczniemy pobierać próbki powierzchniowe ze strefy czwartej. To wszystko jednak potrwa, nawet gdybyśmy zaczęli jutro.

- Wspaniale - mruknął Marty.

- Przez ten czas Iris Merlin miałaby strefę czwartą dla siebie. Mogłaby szukać do upojenia.

- Zdaje się, że miała dziś wyjechać - przypomniała Caroline. - Twierdziłeś, że nie stać jej na pobyt tutaj.

- Mogłaby zostać, gdybyśmy zaoferowali jej pracę przez lato. Tak, żeby mogła pokryć wydatki na życie.

- To wyjątkowo głupie i... - zaczął Marty.

- Jak będę potrzebowała rady - przerwała mu Caroline - to cię o nią poproszę. Jaką pracę masz na myśli, Adamie?

- Musimy przyciągnąć ludzi do Felicity. A gdyby tak zorganizować specjalny weekend, coś w stylu gorączki złota? Ludzie mogliby wybrać się tam całymi rodzinami. Mielibyśmy wtedy okazję zaznajomić ich z naszym projektem.

- Weekend - mruknęła Caroline. - To mi się podoba.

- Mnóstwo pracy pochłonie przygotowanie autentycznej scenerii. Iris jest bibliotekarką. Zna prawie całą historię Felicity. Jest zorganizowana, pracowita i uparta.

- A w dodatku nazywa się Iris Merlin - zauważyła Caroline. - Mówiłeś, że jest spokrewniona z Tęczową Narzeczoną. Już to stanowi dobry tytuł na pierwszą stronę.

- A czy podoła, spędzając mnóstwo czasu na poszukiwaniu mitycznego naszyjnika? - spytał Marty.

- Poradzi sobie ze wszystkim.

- W porządku - powiedziała Caroline. - Podoba mi się pomysł z weekendem. Wolę, żeby Iris Merlin pracowała dla nas, niż przeciwko nam. Złóż jej ofertę w granicach zdrowego rozsądku. Zadzwoń do Peggy w moim biurze w Carson, żeby przygotowała umowę.

- Nie tak szybko, Caroline - zaprotestował nagle Marty.

- Wszystko trzeba przemyśleć, uzyskać zgodę zarządu.

- Już to przemyślałam. I nie przejmuj się zarządem. Do roboty, Adamie.

Adam poczuł, że ucisk w głowie zelżał. Na bluzce Caroline zobaczył wyraźnie białoczerwone paski.

- Iris jest u Leny Maxon. Możemy zadzwonić do niej i...

- Nie mam czasu. - Caroline zerknęła na zegarek. - Jestem umówiona na lunch w Carson. Sam jej to powiedz. Tylko upewnij się, że rozumie, iż chodzi nam przede wszystkim o przyciągnięcie jak największej liczby ludzi, a nie o zapewnienie jej czasu na poszukiwania.

- Jak to, wyjechała? - zdziwił się Adam. - Przecież jeszcze nie ma dziesiątej.

- No, to sprawdź pod łóżkiem - odparła Lena Maxon.

- Lot ma o drugiej, a wiesz równie dobrze, jak ja, że stąd do Vegas jest długa droga. Wyjechała dwadzieścia minut temu. Mam jej numer w Minneapolis i...

- Ona nie wraca do Minneapolis.

- Ależ tak, kochanie. Wiesz dobrze, że nie stać jej na dalszy pobyt tutaj.

- Już stać. - odparł Adam. - Właśnie wracam ze spotkania z ludźmi z Eagle Valley. Zamierzają dofinansować specjalny weekend pod koniec lata. Parady, kostiumy, przebieranki, wszystko w stylu gorączki złota w Felicity. Coś podobnego do Dnia Jima Butlera w Tonopah, tylko na większą skalę.

Lena aż zamrugała powiekami.

- O! Co za fantastyczny pomysł. Zaroi się tu od turystów. Będziemy mieli nadkomplet. Harry i ja możemy przygotować coś specjalnego. Ale co to ma wspólnego z Iris?

- To nie robi się samo. Ktoś musi wszystko zorganizować, przeprowadzić badania historyczne, przygotować promocję. Chcemy ściągnąć jak najwięcej ludzi do Felicity, żeby zainteresować ich osiedleniem się i pracą w Rainbow. A skoro Iris...

- ... jest krewną Tęczowej Narzeczonej, sama stanowi najlepszą reklamę.

- Zgadza się.

- A ponieważ jest bibliotekarką, wie, jak szukać źródeł historycznych.

- Właśnie. Muszę teraz pędzić na lotnisko, żeby złapać ją, zanim wsiądzie do samolotu i powiedzieć jej, co ustaliliśmy.

- Niczego jej nie powiesz - zauważyła Lena - jeśli będziesz miotał się po lotnisku w Vegas, nie wiedząc, dokąd pójść. Ma nad tobą pół godziny przewagi, więc możesz jeszcze poczekać kilka minut, aż zadzwonię i spytam o numer lotu.

Iris miała miejsce przy oknie, lecz nie wyglądała przez nie, bo widok Nevady był dla niej bardzo bolesny. Nevada. Felicity. Rainbow. Tyle marzeń i nadziei związanych ze starym szybem. Była prawie pewna, że gdzieś tam znajdował się naszyjnik.

Wszystko jednak skończyło się rozstaniem. Rozstaniem również z Adamem Freemontem, właścicielem szaroniebieskich oczu. Jego ręka spoczywająca na siedzeniu starej zielonej furgonetki, zwanej Esmeralda. Uczucia, które owładnęły ją w czasie pocałunków w ciemnościach kopalni. „Chciałbym, żebyśmy byli... tylko we dwoje...”

Iris gwałtownie zamrugała powiekami. Nie poddam się tak łatwo. Jeszcze tu wrócę. Adam powiedział, że mam kilka tygodni. Znajdę jakiś sposób, żeby zdobyć pieniądze.

A pocałunki? - szepnął jej głos wewnętrzny. Co z pocałunkami?

Pocałunki pocałunkami, a on mnie i tak nie chce i to niezależnie od tego, co mówi. Najlepiej dowiodły tego wydarzenia ostatniej nocy.

- Zobaczcie - odezwał się człowiek siedzący od strony przejścia - jakiś facet chce wejść bez biletu.

Obejrzała się. Dwie stewardesy usiłowały grzecznie, acz bezskutecznie, powstrzymać wysokiego mężczyznę w dzinsach, który przeciskał się w głąb samolotu. Miał skórę spaloną słońcem pustyni, jasne deszczowe oczy i długie, sięgające kołnierzyka ciemnobrązowe włosy.

Adam Freemont. Poczula nagły przyływ... Czego? Zdumienia, zaskoczenia... Zanim, zdołała to zdefiniować, rumieńce wykwitły jej na twarzy, a nagły przyływ adrenaliny sprawił, że zacisnęła zęby i pięści. Czego jeszcze chce ode mnie? Czy nie rozumie, że zostałam, gdybym mogła?

- Iris - zawołał ponad głowami stewardes. - Gdzie jesteś? Powiedz im, że nie jestem niebezpieczny. Muszę tylko z tobą porozmawiać.

- Nie ma pan biletu - natarła na niego stewardesa. - Nie może pan wsiąść do samolotu bez ważnego biletu.

- Wiem, że nie mam biletu - odparł Adam. - Przepraszam bardzo, ale muszę przez minutę porozmawiać z jedną pasażerską. To ważne.

- Jeśli natychmiast nie opuści pan samolotu, zawiadomię kapitana. Startujemy za pięć minut.

Iris rozejrzała się nerwowo. Nie było gdzie się schować. Jeśli jednak skuli się w fotelu i odwróci, to może się uda.

- Tam jest, pod oknem. - Adam dostrzegł ją. - Nazywa się Iris Merlin. Tylko minutkę, błagam.

- Przykro mi, ale...

- Dajże mu spokój - ujęła się za nim jakaś kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia. - Chce tylko przez minutę porozmawiać z przyjaciółką. Gdyby chciał pogadać ze mną, walczyłabym w jego obronie.

- Iris - powtórzył Adam swoim ni to wściekłym, ni to rozbawionym tonem. - Pomożesz mi?

- Odejdź - warknęła. Wszyscy się jej przyglądali, uśmiechali się. Znów siedziała w Esmeraldzie na środku głównej ulicy. - Nie rozmawiam z tobą.

- Jeśli go nie chcesz - odezwała się kobieta z drugiej strony przejścia - przyślij go do mnie.

Adam przedarł się do niej i przykucnął. Jedna stewardesa została na straży, druga pobiegła w stronę kabiny pilotów.

- Wysłuchaj mnie, proszę. Nie musisz wyjeżdżać.

- Najwyraźniej czujesz się lepiej.

- Owszem, ból głowy minął mi rano. Iris, posłuchaj.

- Poszli po kapitana, więc lepiej się streszczaj.

- Mówiłem ci wczoraj wieczorem, że zanim zaczniemy wiercić w tych starych tunelach, minie kilka tygodni.

- Wiem.

- Dziś rozmawiałem z ludźmi z Eagle Valley. Musimy niezwłocznie rozpocząć badania. Jeśli teraz wyjedziesz, stracisz jedyną możliwość.

- To również wiem. Ale co mam zrobić, żebrać? Przecież nie mam pieniędzy.

Adam pochylił się i ujął ją za rękę.

- Owszem, masz. Zamierzamy urządzić specjalny weekend pod koniec lata. Chcemy, żebyś go dla nas zorganizowała. Potrzebujemy administratora, koordynatora i rzecznika prasowego. To jest praca od połowy czerwca do końca sierpnia. Zapłacimy ci...

- Praca - powtórzyła Iris.

- Tak, praca - rzekł Adam. - Posłuchaj, Iris. Jeśli uciekasz z powodu tego, co stało się w starej kopalni...

- Wcale nie uciekam - urwała ostro.

- Jeśli wyjeżdżasz z tego powodu - poprawił się - to niepotrzebnie. Nie proszę cię, żebyś została z powodów czysto osobistych.

- Więc dlaczego to robisz? Przez dwa tygodnie liczyłeś godziny do mojego wyjazdu. I nie próbuj temu zaprzeczyć. To, co cię spotkało wczoraj - ból głowy, zaburzenia wzroku - to reakcja na moje stwierdzenie, że znajdę środki, żeby tam wrócić.

Mężczyzna siedzący obok Iris wierzcił się gwałtownie.

- Nie mamy czasu na kłótnie - powiedział Adam. - Zamierzamy urządzić ten weekend i chcemy, żebyś go poprowadziła. Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby...

- Starczy tego, koleś - odezwał się jakiś głos. Ręka barczystego mężczyzny w granatowym mundurze ze złotymi naszywkami zacisnęła się na ramieniu Adama. - Idziemy.

Adam wykonał niecierpliwy gest i ręka zniknęła. Poruszał się tak lekko, że nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki jest silny.

- Iris, wszyscy chcemy, żebyś została. Potrzebujemy cię. Serce zabiło jej mocniej.

- Wszyscy? - spytała. - Czyli kto? Mocniej ścisnął jej nadgarstek.

- Caroline Wellcome z Eagle Valley, Lena Maxon... - zawahał się przez chwilę - no i ja.

- Ty?

- Tak, ja.

- Ale nie z... powodów osobistych?

- Nie z takich, jakie masz na myśli. Wszystko ci wyjaśnię, tylko wsiądźmy z samolotu.

- Słusznie - powiedział mężczyzna ze złotymi naszywkami. - Hej, Frank, pomóż mi.

Tym razem Adam wstał bez oporu.

- Jeśli zdecydujesz się zostać, zatrzymasz się u Leny. Po południu oddam ci do dyspozycji Esmeraldę. Proszę cię, Iris.

Dwóch funkcjonariuszy wyprowadzało go z samolotu. Iris odpięła pas bezpieczeństwa.

- Nie rób tego - odezwał się siedzący obok mężczyzna. - Niech po ciebie przyjdzie.

- Oszalałeś? - odezwała się kobieta po drugiej stronie przejścia. - Powinna za nim pójść, bo jak nie, to sama pójdę.

Na przodzie samolotu ktoś zaczął skandować:

- Idź na całość! Idź na całość!

Reszta podchwyciła to. Jedynie dwóch czy trzech malkontentów krzyczało:

- Zostań!

Jednak zostali zagłuszeni.

- Iris - Adam starał się przekrzyczeć wrzawę. - Mówiłaś, że najważniejsze dla ciebie jest odnalezienie naszyjnika i powstrzymanie Donalda Fontenota przed opublikowaniem książki. Masz szansę obronić Tęczową Narzeczoną.

To, rzecz jasna, przeważyło. Iris wstała. Pasażerowie zaczęli wiwatować.

- Tylko porozmawiamy. Wsiądę z samolotu, ale niczego nie obiecuję. Jeśli zostanę, to tylko z powodu naszyjnika.

- W takim razie - wtrąciła kobieta - może ja zostanę zamiast ciebie.

Ochroniarze usunęli wreszcie Adama z samolotu. Stewardesy nerwowo popatrywały na zegarki.

- Przepraszam - powiedziała Iris, przeciskając się obok sąsiada. - Brakuje mi tylko zwichniętej kostki, laski i furgonetki Esmeraldy.

- A co ma z tym wspólnego furgonetka? - zdziwił się mężczyzna.

- Mniejsza z tym. Powinnam się pospieszyć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Odgłos strzału wstrząsnął cienkimi ścianami baru Handshake. Iris zerwała się na równe nogi. Stos starych fotografii rozsypał się na wszystkie strony. Pokoik na zapleczu był tak maleńki, że dopadła drzwi w dwóch skokach. Jeszcze kilkanaście kroków i znalazła się w barze.

Wszędzie unosił się zapach prochu. Samantha Killian stała w chmurze niebieskiego dymu, ściskając zabytkowy rewolwer z wykładaną perłową macią rękojeścią. Wyglądała na bardziej zdumioną, niż przestraszoną.

- Samantha! - krzyknęła Iris. - Nic ci nie jest? Co się stało?

- Wszystko w porządku - odparła Samantha. Podniosła i wycelowała rewolwer. - Nie wiedziałam, że jest naładowany. To był wypadek.

- Nie celuj z tego! Jaki wypadek?

- Bar - odparła cicho Samantha. - Trochę go uszkodziłam.

Iris odwróciła się i zobaczyła świeżą dziurę w wypolerowanym mahoni, tuż pod potretem Tęczowej Narzeczonej. Kilkanaście centymetrów wyżej i prababka Iris straciłaby jeden z pantofelków.

- Mogłaś kogoś zranić. Skąd, u licha, wzięłaś ten rewolwer?

- To mojego taty. Wisi ich kilka na ścianie w salonie.

Podobno są warte mnóstwo pieniędzy. Naprawdę nie wiedziałam, że są naładowane.

- O Boże - jęknęła Iris. - Adam uprzedzał mnie, że jesteś mistrzynią w powodowaniu szkód, ale nie spodziewałam się rewolwerowca. Oddaj to.

- Nie mogę, bo go potrzebuję. Gram spekulanta w dziecięcym przedstawieniu historycznym. Będę miała czarny kapelusz, fantazyjną kamizelkę i rewolwer.

- Najpierw tata upewni się, że to więcej nie wystrzeli. - Iris niezręcznie wzięła broń. - Nie mogę uwierzyć, że trzyma naładowaną broń na ścianie. O jakim przedstawieniu mówisz?

Samantha zakryła usta ręką.

- Oj, miałam nic nie mówić.

- Ale już coś powiedziałaś - nasrożyła się Iris. - Możesz więc powiedzieć resztę.

- Wymyślił to Adam. Musieliśmy jednak obiecać, że nic ci nie powiemy, bo chciał to sam zrobić. Podobno wcale tego z tobą nie uzgadniał.

- Nie - przyznała Iris - i nie będzie żadnego dziecięcego przedstawienia, niezależnie od tego, co mówi Adam Freemont... - Urwała, Na twarzy Samantha malowało się takie rozczarowanie, że ścisnęło się jej serce.

Teraz ja ją odtrącam, pomyślała. Robię jej dokładnie to, co ojczym i mama robili mnie. Ale to jedyne rozsądne wyjście, podpowiadał jej głos wewnętrzny. Jeśli zgodzisz się na włączenie dziecięcego przedstawienia do programu weekendu, nie opędzisz się od dzieci. A przecież tego nie chcesz. To zbyt ci będzie przypominało własne dzieciństwo. Nawet jeśli będzie to bolesne, tłumaczyła sobie cierpliwie Iris, nie chcę być taka jak oni, jak mama i ojczym.

- Co to ma być za przedstawienie?

Samantha rozpromieniła się.

- Sztuka o Rainbow, Felicity i o złocie - powiedziała. - Wszyscy weźmiemy w niej udział.

- A kto napisze scenariusz? Kto uszyje kostiumy?

- Adam zna mnóstwo historii o kopalniach. Pomoże nam i napiszemy to wspólnie. Sami uszyjemy kostiumy. Myśleliśmy też, że mogłabyś... - Umilkła i popatrzyła wyczekująco na Iris.

- Chyba będziemy musiały pogadać z panem Freemontem - powiedziała Iris, zerkając na zegarek. - Już prawie szósta. Możemy pójść do niego od razu.

- Co? - przeraziła się Samantha. - Już szósta?

- Bez pięciu minut.

- Znów spóźniłam się na obiad - westchnęła. - Mama będzie wściekła i nie puści mnie z tatą na weekend do Rainbow. A jeśli tata dowie się o tym... bo nie oddasz mi chyba rewolweru, to uziemi mnie na dłużej.

- Oddam go Adamowi - powiedziała Iris, świadoma niechęci, jaką żywił do niej Tommy Killian. - On i tata są przyjaciółmi. Może będziesz miała dzięki temu mniejsze kłopoty.

- Po co ci broń? - spytał Adam Freemont, otworzywszy drzwi. - Wiem, ile znaczą dla ciebie te sztolnie, ale zastrzelenie mnie byłoby już przesadą.

- Nie bądź śmieszny - odparła Iris. - Wcale nie zamierzam cię zastrzelić. Chociaż, kiedy Samantha opowiedziała mi o tym dziecięcym przedstawieniu, miałam na to ochotę.

- Rozumiem, przepraszam. Powinienem o tym powiedzieć przede wszystkim tobie. Co cię tu sprowadza?

- A gdzie jest Kimantsi? Czy to imię coś znaczy? Obdarzył ją tym swoim nieokreślonym uśmiechem. Miał na sobie sfatygowane dzinsy i podkoszulek. Włosy lśniły wilgocią. Najwyraźniej przed chwilą wziął prysznic, żeby zmyć kurz z kopalni. W rękę trzymał dorodnego pomidora.

- Kimantsi jest za domem. W języku południowych Indian Paiute znaczy „obcy”. Znalazłem ją porzuconą przy drodze, kiedy była całkiem mała. Czasem oboje czujemy się jak obcy. - Cofnął się i ręką z pomidorem wykonał zapraszający gest. - Zanim wyjaśnię ci sprawy związane z dziecięcym przedstawieniem, może Panna Wścibska opowie mi, jak weszła w posiadanie jednego z bezcennych zabytków Tommy'ego Killiana.

Wnętrze było wykończone surowym drewnem o czerwonym odcieniu. Sufit wznosił się wysoko, a po... spojrzała na nadgarstki... po prawej stronie znajdowała się przeszklona ściana. Po lewej schody wiodły na otwarty podest. Wszędzie było mnóstwo słońca i książek. Stały na półkach, leżały na stołach, piętrzyły się w stertach na podłodze. Książki były dla niej zaskoczeniem, choć jeśli się zastanowić...

- Pięknie tu. Lena Maxon mówiła mi, że sam to zbudowałaś.

- Większość - przyznał. - Wolałbym jednak, żebyś opuściła broń. Tommy trzyma ją naładowaną.

- Właśnie byłem tego naocznym świadkiem. Tommy Killian powinien być włóczony końmi za to, że trzyma nabitą broń w zasięgu dzieci.

- Dzieci? - zaniepokoił się Adam. - Samantha? Co...

- Nic jej nie jest - uspokoiła go Iris. - Jednak bar Handshake nieco ucierpiał.

Tym razem Adam uśmiechnął się szerzej.

- Ta ponura historia, plus opowieść o dziecięcym przedstawieniu, zajmie nam nieco czasu. Poza tym chcę wieczorem pojechać z tobą do Felicity. Może zjemy jakąś kanapkę?

- Lena przygotowuje mi śniadania i kolacje - odparła zdumiona Iris.

- To zadzwoń do niej.

Głos Adama brzmiał szczerze. Jednak kiedy przyjrzała mu się uważniej, wspominając tamtą chwilę w kopalni, zauważyła, że oczy mu nieco pociemniały. On również to pamiętał.

Wzięła głęboki wdech.

- Zgoda - powiedziała. - Ale tylko dlatego, że musimy porozmawiać. Chcę wiedzieć, co obiecałeś dzieciakom i dlaczego wybierasz się dziś ze mną.

- Muszę skończyć pewną symulację komputerową... - zaczął niepewnym tonem. - To już połowa lipca. Telefon jest tam.

Wrócił do kuchni. Iris położyła broń koło telefonu. Lena Maxon była dziwnie zachwycona, że Iris nie przyjdzie na kolację. Interesowały ją wszystkie szczegóły. Kiedy skończyła rozmawiać, Iris czuła się, jakby spędziła cały dzień na słońcu.

- Co za symulacja komputerowa? - spytała podejrzliwie, stając w drzwiach kuchni.

Adam pokroił pomidora w plastry i zajął się ogórkiem. Kuchennymi narzędziami posługiwał się równie zręcznie, jak sprzętem górniczym.

- Oszacowanie próbek z czwartej strefy. ~ Nad moimi sztolniami?

- Tak - przyznał i zaczął cieniutko kroić cebulę. - Nad twoimi tunelami, chociaż nie są one tak naprawdę twoje.

- Wiem. Należą do ciebie. Ale powiedziałeś, że mogę szukać naszyjnika i nie zamierzam z tego rezygnować. Miałam czas na zbadanie dopiero jednej czwartej. Ty analizuj swoje próbki, ja zajmę się swoją robotą.

- Kiedy zaczniemy wiercić - podniósł głowę znad deski - w tunelach będzie niebezpiecznie.

- Jeśli zaczniecie...

- Zaczniemy, bo próbki są bardziej obiecujące, niż się spodziewałem.

- Wycofam się, kiedy uznam to za zbyt ryzykowne.

- Kiedy uznasz to za zbyt ryzykowne? Zrobisz to, kiedy ci powiem, albo wyrzucę cię z tego terenu.

I na pewno tak zrobi, ku radości mieszkańców Felicity, którzy rzucili wszystko na jedną szalę. Dla nich Iris Merlin była jedynie postacią z legendy.

Iris wzięła głęboki wdech.

- Będę szukała, jak długo się da. Kiedy każesz mi przestać, przestanę. A teraz opowiem ci, co stało się w Handshake.

- Zamieniam się w słuch.

- Samantha chciała chyba poćwiczyć szybkie wyciąganie broni. Kiedy weszłam, była zaszokowana.

- Mogła zrobić sobie krzywdę albo kogoś zabić - zauważył Adam.

- Nie chciałam oddać jej broni ani rozmawiać z Killiaolem. Powiedz mu, żeby powymyślał naboje z tych cholernych rewolwerów, a przynajmniej powiesił je tak, żeby Samantha nie mogła się do nich dostać.

- Nie martw się, pogadam z nim - powiedział, kładąc deskę na blat kuchenny.

W funkcjonalnie zaprojektowanym pomieszczeniu wszystko lśniło nieskazitelną czystością, nawet dwie miski Kimantsi na podłodze.

- Usiądź.

- Możesz wpuścić Kime, jeśli chcesz - oświadczyła, siadając. - Nie musisz trzymać jej na zewnątrz przez wzgląd na mnie.

- Ma jakieś swoje sprawy - odparł, nalewając mrożonej herbaty do dwóch wysokich szklanek. - Nic jej nie będzie. Co spowodowało twój strach przed psami?

- Dlaczego uważasz, że coś się musiało stać?

- Takiego chorobliwego lęku nie odczuwa się bez przyczyny. Wspominałaś, że chodzi jedynie o psy. A co z kotami?

- Mam ... - zaczęła odruchowo i urwała.

Nie ma już Luny, pięknej Luny o stalowej sierści i oczach niebieskich jak chabry. Zupełnie nie po kociemu serdeczna, przez siedemnaście lat była jej bliższa niż niejeden człowiek. Teraz jej nie ma, a mieszkanie w Minneapolis jest jakieś puste.

- Miałam syjamskiego kota.

Nie wyraził współczucia, tylko spojrzał na nią po swojemu.

- To mnie nie dziwi. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w Handshake, przypominałaś mi syjamskiego kota.

- Czy wyglądam jak kot?

- Nie - uśmiechnął się. - Ale miałaś taki koloryt. Skórę, oczy, a twoje włosy...

Iris zaczerwieniła się.

- Naprawdę lubię zwierzęta. Kocham koty. Tylko psy...

- Powiedz mi, dlaczego.

Wzięła kanapkę. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Dlaczego ma opowiadać o tym Adamowi Freemontowi?

- To był pies taty - zaczęła. - Wabił się Duke. Wielkie, czarne psisko. Tata zawsze mówił, żebym trzymała się od niego z daleka.

- Tata - zauważył - czyli twój ojczym.

- Tak. On i mama zawsze stronili ode mnie. Kiedy bawiłam się na zewnątrz, wchodzili do środka. Jeśli byłam w salonie, przenosili się do kuchni. Przeważnie jednak zamykali się w swoim pokoju. Duke siedział pod drzwiami. Miałam cztery latka i niewiele z tego rozumiałam.

- Nic dziwnego - mruknął.

- Pewnego popołudnia chciałam czegoś od nich. Nie pamiętam już o co chodziło. Spróbowałam otworzyć drzwi i Duke mnie zaatakował... - urwała.

- Chwytał zębami mój nadgarstek. Mama płakała, a tata... tata krzyczał, że powinnam trzymać się z daleka od psa.

- Nie możesz tego pamiętać.

- Owszem, pamiętam. Zobacz! - Odśloniła lewą rękę. Blizny były wyblakłe, ale dobrze widoczne.

- Pies trzymał mnie, nie pozwalał wejść, a wszystko dlatego, że nie chcieli mnie, bo nic ich nie obchodziłam.

Adam ujął delikatnie jej nadgarstek i wróciły wszystkie doznania. Zamknęła oczy i przełknęła ślinę. Dotyk Adama Freemonta ratował ją przed całkowitym załamaniem.

- Lęk przed psami nie był jedynym doświadczeniem wyniesionym z tej niemiłej przygody. Obawiasz się również odrzucenia. Boisz się być pominięta, niechciana - powiedział cicho.

Gdy sens tych słów dotarł do niej, wyrwała gwałtownie rękę.

- Nikt nie chce być odrzucony ani stać się przedmiotem psychoanalizy robionej przez obcych ludzi.

- Przepraszam. - Wycofał się. - Myślałem, że nie jesteśmy sobie obcy.

- Jedyna fobia, jaką mam, wiąże się z psami - zaperzyła się Iris. - I o żadnej innej nie ma mowy. I w dodatku, kto to mówi? Skoro twierdzisz, że jesteśmy przyjaciółmi, to powiedz mi, dlaczego najmniejsza sprzeczka powala cię na ziemię?

W ciszy, która nagle zapadła, słysząc było buszującą po podwórku Kimantsi, szum wiatru, jej własny oddech. Dałaby wszystko, żeby cofnąć te słowa.

- Określenie „najmniejsza sprzeczka” - powiedział, siadając na krześle - jest wielką przesadą.

- Ale chodzi o klótnie - upierała się. - To one wywołują u ciebie bóle głowy.

- Brzmi to tak, jakbym codziennie przewracał się na ulicy. Aż do tamtej nocy nie miałem takiego ataku od... - Urwał.

- Odkąd?

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że wolałby nie odpowiadać.

- Od czasu mojej ostatniej bytności w Bostonie. I to nie jest kwestia kłótni, Iris. Siedzimy tu, sprzecząc się, a jednak mogę ci obiecać, że nic się nie stanie. To o wiele bardziej skomplikowana sprawa.

- Twoja matka mieszka w Bostonie.

- Owszem - przyznał. - Ale to też nie jest takie proste. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, nawet gdybym chciał.

Było jasne, że nawet nie zamierza próbować.

- Mniejsza z tym, skoro nie ma to ze mną nic wspólnego. Powiedz mi, skąd wziął się pomysł tego dziecięcego przedstawienia: Wyjaśnij mi to.

Adam wziął następną kanapkę. Przez chwilę jadł w milczeniu.

- Dzieci czuły się pominięte. Planując imprezę, myśleliśmy wyłącznie o dorosłych. Powiedziałem im, że jeśli chcą wziąć udział, pomogę im coś sklecić. Zawsze lubiły stare opowieści.

Kiedy Adam był mały, przypomniła sobie słowa Leny Maxon, nic tylko chodził za weteranami i słuchał w kółko opowieści o zaginionych żyłach i o duchach poszukiwaczy.

- Zaginione żyły? - spytała. - Duchy poszukiwaczy?

- Opowieści o duchach - wyjaśnił spokojnie - to zwykłe bajeczki. Te o zaginionych żyłach są prawdziwsze. To jeden z powodów, dla których jestem pewien, że w Rainbow jest złoto. Słyszałem wiele opowieści o cennej żyłce, którą odkryto tu przed wybuchem epidemii cholery.

- Żałuję, że nie byłam obecna, kiedy tłumaczyłeś to ludziom z Eagle Valley. Co im powiedziałaś?

Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Pokazałem im wstępne wyniki. Czterokolorowy wydruk z komputera. Nie mówiłem o zaginionej żyłce.

- Powinieneś się częściej uśmiechać - powiedziała, nie mogąc się powstrzymać. - Wyglądasz wtedy zupełnie inaczej.

- To dość osobliwa uwaga, szczególnie z ust kobiety, która przysłała tu z rewolwerem, gotowa obdrzeć mnie ze skóry za zakłócanie przygotowań do weekendu starej Felicity.

- Wiesz, dlaczego mam rewolwer. I nie mam zamiaru nikogo obdzierać ze skóry. Chcę się tylko dowiedzieć, o co chodzi w tym przedstawieniu.

Odchylił się na krześle i popatrzył na nią z uwagą.

- W zasadzie to już wiesz. Chodzi o to, żeby dzieciaki uczestniczyły w paradzie. W gruncie rzeczy to nie żadne przedstawienie, tylko kilka krótkich scenek.

- Mimo wszystko potrzebne będą próby. Trzeba przygotować scenariusz, rozplanować miejsca i kolejność. Taka skomplikowana rzecz jak „Weekend starej Felicity”, nie weźmie się sama z siebie.

- Nie - przyznał Adam. - Oczywiście, że nie.

- Mam nadzieję, że pomożesz mi, skoro zacząłeś.

- Oczywiście, że pomogę. Zawsze kończę to, co zacząłem.

Spojrzeni na siebie. Iris poczuła, jak krew zaczęła jej pulsować szybciej.

- Ja też - powiedziała.

Adam wstał bez słowa. Iris również zerwała się na równe nogi. Adam postąpił krok w jej kierunku, objął ją i nim zdążyła otworzyć usta, by mu coś powiedzieć, zamknął je pocałunkiem.

Po dwóch tygodniach wzajemnego unikania się jego usta smakowały wyjątkowo słodko. Iris uniosła ręce i wsunęła mu palce we włosy. Były długie, gęste i wciąż jeszcze wilgotne. Zacisnęła dłonie, by mieć pełne garści jego włosów. Dopóki je trzymam, nie przestanie mnie całować...

Jakby zgadując jej myśli, nie odrywał od niej ust ani na chwilę. Iris czuła, że jej skóra robi się coraz wrażliwsza. Wypuściła jego włosy i objęła go za szyję. Ogarnęło ją podniecenie pomieszane z gorącą falą rozkoszy.

Odsunął się na tyle, by wyszeptać jej imię.

- Iris, otwórz oczy. Patrz na mnie, kiedy mnie całujesz. Cofnęła głowę i spojrzała na niego. Zobaczyła ostre rysy,

jasne oczy i opaloną skórę. W jego ustach dostrzegła zmysłowość. Ciało miał gorące, a wokół niego unosiła się woń szaławii.

- Patrzę na ciebie - powiedziała.

- Więc mnie pocałuj.

Znów wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła do siebie. Ta niecierpliwa i łapczywie zmysłowa Iris była dla niej kimś nieznanym. Zrodziła się z jednego słowa, gestu i nie zamierzała ustąpić. Chyba że...

Chyba że zagrozi najtajniejszym zakątkom psychiki prawdziwej Iris Merlin - tym rejonom, w które ucieka przed bólem i odtrąceniem.

Usta Adama Freemonta mogły kryć w sobie słodycz, ale była ona niebezpieczna i trująca.

Ręce Iris osunęły się bezwładnie. Mięśnie napięły. Stało się to bez udziału świadomości. Adam wyczuł zmianę, bo puścił ją natychmiast.

Spojrzeni na siebie. Nie chcę cię, nie potrzebuję, nic dla mnie nie znaczysz. Iris wzięła wdech, by wypowiedzieć słowa, którymi broniła się przed każdym, kto zbyt blisko się do niej zbliżył. To, niczym magiczne

zakłęcie, zapewniało jej bezpieczeństwo. Jednak bliskość Adama Freemonta sprawiła, że słowa uwięzły jej w gardle.

- Przepraszam - odezwał się Adam. Poczekał przez chwilę, aż uspokoi oddech i zaczął zbierać talerze. - Nie powinienem tego robić.

Iris wytrzeszczyła oczy. To przecież nie miało sensu, bo sama go powstrzymała. Sama go odrzuciła, a jednak poczuła się tak, jakby ktoś zatrzaskał jej drzwi przed nosem.

Krew uderzyła jej do głowy.

- Nie odwracaj się tyłem do mnie. - Złapała go za rękę. - Nie waż się odwracać do mnie tyłem.

Poczuła, jak napina mięśnie. Stał z talerzem w ręku, nie odwracając się do niej.

- Czego ode mnie chcesz?

- Spójrz mi w oczy, powiedz coś. Powiedz, że wszystko jest w porządku, ale nie odwracaj się do mnie tyłem.

Puścił trzymany w ręku talerz, który rozbił się z hukiem. Potem jednym ruchem znalazł się z nią twarzą w twarz.

- Nic nie jest w porządku - powiedział. - Do diabła, Iris, czy nie widzisz tego? Jesteśmy najgorszymi możliwymi partnerami. Ja pragnę ciebie, ty mnie, ale to za mało dla każdego z nas.

Puściła jego rękę i cofnęła się.

- Tak, pragnę cię. - Każde słowo odarte ze sztucznej uprzejmości brzmiało przerażająco szczerze. - Pragnę cię aż do bólu, choć wiem, że to niemożliwe i będę cię pragnął do końca życia. Czy teraz jesteś zadowolona? Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?

- Nie - szepnęła Iris. - Oczywiście, że nie.

- Chyba tak, choć sama o tym nie wiesz. Chcesz być zawsze tą, która odchodzi, prawda? Dopiero wtedy czujesz się bezpieczna. Najpierw mnie zwodzisz, potem odpychasz i to jest wyłącznie sposób na to, by łatwiej zapomnieć...

- Przestań! Zbladł.

- Wybacz, nie powinienem tego mówić.

- To nieprawda! - Prędzej padnie trupem, niż rozplacze się w jego obecności, choć w gardle ją ścisnęło, piekły oczy, a głos jej się łamał. - Nie zwodziłam cię. Nie bawi mnie unieszczęśliwianie innych. I nie rozumiem, co znaczy, że jesteśmy najgorszymi z możliwych partnerów.

- Wiesz bardzo dobrze.

- Nie zastanawiałam się nad tym - skłamała.

- A ja tak. Jesteśmy idealnymi przeciwnościami, Iris. Ty byłaś niechciana i odrzucana, stąd boisz się zaryzykować ponownie. Ja... cóż, ja nie byłem odrzucany. Byłem kochany.

W ostatnich słowach zabrzmiała gorzkość.

- Tylko że to nie była prawdziwa miłość - ciągnął. - Zaborcza, chciwa matka, traktowała mnie jak cenny przedmiot, o który się walczy i taszczy ze sobą wszędzie. Miłość mnie zniszczyła i więcej nie chcę ryzykować. Nigdy.

Iris przypomniała sobie opowieść Leny o tym, jak matka wywoziła Adama do Bostonu.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie Adam schylił się i pozbierał kawałki rozbitego talerza.

- Nigdy nie wyraziłem tego słowami - rzekł. - Nawet przed samym sobą.

- Ja również nie... tego, co o mnie powiedziałaś. Wprawdzie nie wszystko jest prawdą, ale... cóż, może trochę. Po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- A więc nie ma żadnego wspólnego gruntu?

- Mówiłeś, że chcesz jechać do Rainbow. To jest nasz wspólny grunt.

- Bardzo chwiejny grunt - powiedział.

- Wiem - przyznała.

- Nadal chcesz tam jechać?

- A ty jedziesz?

- Muszę, o dziewiątej czekają na nowy raport o próbkach.

- Chyba jednak wrócę do Leny.

Jeśli wsiądę z tobą do Esmeraldy i pojedziemy do Rainbow zupełnie sami, będę zgubiona.

- Na dziś dam sobie spokój - powiedziała. - Jeśli naszyjnik tam jest, nie zniknie do rana.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczorem mam próbę z dziećmi, pomyślała Iris, upinając rano włosy. Dlatego mogę spędzić część dnia w Rainbow.

George Earley był szczęśliwy, mogąc ją podwieźć. Pomógł nawet zataścić ekwipunek na skraj szybu. Sześć specjalnych lamp i latarka z kompletem zapasowych baterii. Aparat fotograficzny, ołówki i mapnik. Kanapki, owoce, ciasto od Leny i dwie butelki z wodą. W torbie przy pasie miała, jak zwykle, trzy cenne kamienie na szczęście.

- Że też musisz to wszystko ze sobą taszczyć - powiedział George. - Domyślam się, że jeszcze niczego nie znalazłaś.

- Nie, ale znajdę.

- Wiesz, że Adam będzie pobierał próbki nad sztolniami?

- Wiem.

- Ludzie z Eagle Valley niecierpliwie czekają na wyniki. Tak jak my wszyscy.

- Wiem - powtórzyła Iris. - Rozmawiałam z Adamem wczoraj wieczorem.

- Czy wie, że będziesz tu od rana? Iris zważyła w rękę butelkę z wodą.

- Nie.

- Symulacja komputerowa zajmie mu czas mniej więcej do południa. Potem przyjedzie tutaj i dokończy pobieranie próbek nad twoją głową.

- Nawet się nie dowie, że tu jestem - odparła. - Nie będę wchodziła mu w drogę.

- Lepiej nie wchodzić w drogę Tommy'emu - zauważył George. - Mówił, że chce cię wyrzucić stąd na dobre. Myśli, że przynosisz pecha. Wmawiał pozostałym, że Iris Merlin sto lat temu przyniosła pecha górnikom.

Iris wkładała właśnie drugą lampę do plecaka w kolorze khaki, który pożyczyła jej Lena.

- To największa bzdura, jaką słyszałam. Moja babka nie przyniosła im pecha. Starła się im pomóc i przez to zginęła.

- Tommy wierzy w coś innego - wzruszył ramionami George. - Że dała tu kilka przedstawień i uciekła, kiedy zaczęła się cholera.

- Myli się. Dziękuję, George. I dzięki za ostrzeżenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Sięgnął do ronda kapelusza. - Pamiętaj, wracam o piątej.

Jeszcze raz sprawdziła ekwipunek, potem zeszła na dół po drewnianej drabinie. Pomimo upalnego ranka w tunelu było chłodno. Poświeciła w głąb głównego tunelu. Sporządziła plany pierwszych czterech rozgałęzień, teraz przysła pora na kolejne.

Przy pierwszym zatrzymała się i zapaliła pozostawioną tu poprzednio lampę. Podczas tych podziemnych wędrówek nie mogła przestać myśleć o Adamie, jego dłoniach, ustach...

Przeszła do drugiego rozgałęzienia i zapaliła kolejną lampę. Wspomnienie pierwszego pocałunku przywołało następny i tak aż do tego, co zaszło przy Wingfield.

„Pragnę cię aż do bólu, choć wiem, że to niemożliwe i będę cię pragnął do końca życia”. Mówił to zupełnie poważnie. Cierpiał, a jednak nie było przy tym ataku. „Siedzimy tu, sprzecząc się, a jednak mogę ci obiecać, że nic się nie stanie. To o wiele bardziej skomplikowana sprawa”. Więc o co chodzi? Co powoduje u niego te ataki?

Trzecie rozwidlenie, potem czwarte. Wszystko nie tknięte stopą ludzką od niemal stu lat. Iris zatrzymała się, obniżyła światło i zmusiła do skupienia uwagi na podłodze tunelu. Szukała jakiegoś znaku na ścianie, śladu po rozkopanej ziemi, czegokolwiek.

Dostrzegła coś w głównym tunelu przy piątym rozgałęzieniu. Małe, niekształtne zawiniątko pokryte grubą warstwą kurzu. Mogła to być jakaś szmata czy chusta jednego z górników. Iris wiedziała jednak, że to coś innego. Serce zabiło jej mocniej.

Uklękła, postawiła lampę i delikatnie dotknęła tkaniny. Była cienka, delikatna i trochę śliska. Jedwab. Spod kurzu wyzierał turkusowy odcień.

- To jej welon - szepnęła - a przynajmniej jego skrawek. A więc miałam rację, była tu.

Drżącymi rękami rozwijała kawałek jedwabiu. Jęknęła rozczarowana. Zawiniątko było zbyt małe, by pomieścić naszyjnik. Przypomniała sobie własne słowa: „Wymieniła biżuterię na wodę i jedzenie, lekarstwa i zioła”.

- A więc to należało do niej - powiedziała głośno. - Stała w tym miejscu. To znaczy, że tu musiała skręcić. Teraz przynajmniej wiem, gdzie mam szukać naszyjnika. To będzie prawdziwy dowód.

Schowała zawiniątko do kieszeni plecaka. Wyjęła mapnik i zaznaczyła piąte rozgałęzienie. Potem zerknęła na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Adam wciąż siedzi w przyczepie. To dobrze, bo musi go przekonać, żeby szukał próbek gdzie indziej.

Kiedy wyszła z szybu, czekało na nią kilku mężczyzn.

- Wynoś się stąd - powiedział bez ceregieli Tommy Killian. - Zaczynamy prace w tym rejonie i nie mamy czasu uważać na ciebie.

Mężczyźni zbili się w kupkę. Iris знаła wszystkich z widzenia. Kiwali potakująco głowami. George Earley stał z tyłu z przepraszającą miną.

- Gdzie jest Adam? - spytała.

- Nie ma go - odparł Tommy. - Na pewno nas poprze. A my nie chcemy cię tu więcej oglądać. Wszystko idzie źle, odkąd się pojawiłaś.

- Przynosisz nam pecha - powiedział któryś z mężczyzn. - Wciąż tylko gadasz o tamtej Iris Merlin, a ona była zła.

- Zostawiła konających górników - dodał inny. - Pewnie sama przywlokła cholere.

Iris popatrzyła na nich. Przyglądali się jej, szeptali coś i gestykulowali. Może w innych okolicznościach wydałoby się jej to śmieszne albo wręcz nieprawdopodobne. To była druga połowa dwudziestego wieku i pod koniec dnia ci mężczyźni wrócą do klimatyzowanych domów, podgrzeją sobie posiłek w kuchenkach mikrofalowych i obejrzą ostatnie wiadomości w kablowej telewizji. Płacą podatki, kochają dzieci i pewnie nie dopuścili się większych przestępstw niż złe parkowanie. Pod palącym słońcem, w sercu pustyni zmienili się jednak w okrutną bandę z czasów gorączki złota. Przeszedł ją dreszcz.

- Iris Merlin nie porzuciła umierających górników - powiedziała, starając się opanować drżenie głosu. - Coś tu znalazłam. Patrzcie...

Wyjęła zawiniątko z plecaka. To ich zaskoczyło. Znowu zmienili się w zwykłych, ciekawych mężczyzn.

- Zobaczcie, jaki ma kolor. To delikatny jedwab. Kawalek z welonu Tęczowej Narzeczonej, taki sam jak na portrecie w barze.

Tommy Killian zmełł w ustach przekleństwo.

- Kolor pasuje - odezwał się jeden z mężczyzn. - Kawalek jedwabiu to dziwna rzecz w starej kopalni.

- Co jest w środku, Iris? - spytał George Earley.

- Czy to naszyjnik? - zaciekał się inny.

- Nie, to nie naszyjnik, lecz...

Tommy Killian ruchem szybkim jak błyskawica wyrwał jej pakunek z ręki. Zanim zdołała cokolwiek zrobić, jednym ruchem rozdarł delikatny materiał. Posypały się pokruszone liście, korzenie i zioła.

- To tylko stara szmata. Bez żadnego znaczenia.

- Aniech cię, Tommy Killian. Oddaj mi to - powiedziała Iris.

Tommy zmiął jedwab i cisnął go na ziemię.

- Najpierw chciałaś wstrzymać prace - warknął - potem pobiegłaś do Adama naskarzyć na Sammy. Teraz tego pożałujesz.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, złapał ją za rękę. Mocno, aż do bólu.

- Chodźcie, chłopaki - zawołał. - Zapewnimy jej eskortę do furgonetki George'a i zobaczymy, jak wynosi się stąd raz na zawsze.

Resztki strachu zastąpiła wściekłość. Wyrwała rękę.

- Nie waż się mnie tknąć - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - I obejdzie się bez eskorty. Nie ruszę się z Rainbow, dopóki Adam Freemont sam mi tego nie powie.

- A i to pewnie niewiele by pomogło - odezwał się zniecierpliwiony Adam.

Mimo iż nie widział Iris, grupka ludzi przed wejściem do sztolni nasunęła mu pewne przypuszczenia. Zjawił się w samą porę, by zobaczyć jak Tommy Killian chwyta Iris za rękę i jej gwałtowną reakcję. Wybuch wściekłości zatrzymał go na chwilę. Kima najeżyła się, odsłaniając kły. Kiedy odezwał się, mówił nienaturalnie spokojnym głosem. Wszyscy odwrócili się gwałtownie.

Tommy Killian najpierw poczerwieniał, potem zbladł.

- Chodzisz ciszej niż jakikolwiek znany mi człowiek - mruknął. - Czy mógłbyś uspokoić tego psa?

Adam osadził Kimantsi jednym gestem.

- Nic ci nie jest, Iris?

- Oczywiście, że nie. Świetnie sobie radzę. Przepraszam. Minęła Killiana i podniosła dwa kawałki turkusowego materiału. Były pomięte, więc poskładała je starannie. Potem podniosła wzrok. Jej błękitne oczy lśniły mieszaniną łez i podniecenia.

- Znalazłam to w tunelu. Kawałek jej welonu. Owinęła nim garść ziół, zupełnie jak w opowieściach mojego ojca.

- Jest podarta - nachmurzył się Adam. - Co się stało?

- Nieważne. - Wyprostowała się. - Istotne jest, że znalazłam to dokładnie na rozgałęzieniu. Wiem już, które tunele mam przeszukać. Teraz to nie potrwa długo, Adamie.

- Do diabła, Adam - parsknął Tommy Killian. - Powiedz jej...

- Niczego jej nie powiem. Ale wy macie chyba coś do powiedzenia.

Mężczyźni zaczęli coś mamrotać i cofnęli się.

- Przepraszam, Iris - rzekł wreszcie George Earley. - To tylko takie gadanie.

- Przepraszam - dodał inny. - Myślę, że coś takiego jak pech nie istnieje.

- Dzięki - rzekła Iris. - Nie mówmy o tym więcej.

Mężczyźni rozeszli się. Pozostał jedynie Tommy Killian, spoglądający niechętnie na Iris. Adam jedynie popatrzył na niego. Wreszcie Tommy spuścił wzrok.

- Nie powinienem był rozerwać tego jedwabiu - wydusił. - Nie powinienem złapać cię za rękę. Nie chciałem niczego złego.

Odwrócił się na piecie i odszedł, zanim Iris zdołała cokolwiek powiedzieć. Patrzyła przez chwilę w ślad za nim.

- Adamie - rzekła, odwracając się do niego - musimy porozmawiać. Chcę pokazać ci moje plany i rozgałęzienie, na którym znalazłam to zawiniątko. Pomożesz mi zorientować się, w której części kopalni to się znajduje.

- Chodź ze mną do Esmeraldy. Mam coś, co chciałbym ci pokazać.

Na wschodniej stronie głównej ulicy Felicity nadal zachowało się kilka frontowych ścian, które zapewniały odrobinę cienia. Adam otworzył drzwi i pomógł wsiąść Iris. Wewnątrz słychać było...

- Och, Adamie! - krzyknęła Iris. - Te dźwięki! Czyżbyś miał kotka w samochodzie?

- Zobacz sama. To pudełko jest dla ciebie.

Przez wycięte w pokrywie otwory wyglądał różowy pyszczek, który pomiaukiwał żałośnie. Iris cisnęła mapnik ze szkicami na tylne siedzenie i otworzyła pudełko.

- Adamie! Kociak jest wspaniały!

Wyjęła go z pudełka. Wspaniały? Adam doszedł do wniosku, że zwierzak wygląda raczej groteskowo. Czarno-białe uszy miał wielkie niczym nietoperz, krótkie łapki, a ogon najwyraźniej pożyczył od innego kota. Był długi, prawie taki jak jego właściciel, i pokryty gęstym, lśniącym futrem.

Iris przytuliła kotka do siebie.

- Czy naprawdę jest mój? Skąd go masz? Co na to Lena?

Nigdy dotąd nie widział jej tak rozpromienionej.

- Odpowiem na wszystkie pytania po kolei. Tak, jest twój. Dostałem go od sąsiadki. Lena jest nim zachwycona.

- Jest cudowny. Taki zabawny. Zastanawiam się, skąd wziął te uszy. I ogon...

- Trudno orzec.

- Zobacz, jak się mnie uczeplił. Już mnie zna.

- Najwyraźniej na to wygląda.

- Dziękuję. - Spojrzała Adamowi w oczy. - Kiedy wczoraj opowiadałam ci o mojej syjamce, nie sądziłam, że coś takiego zrobisz.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział - choć nie wiedziałem, czy robię słusznie.

- Jak to? - spytała, tuląc kotka.

- Bałem się, że nie zaakceptujesz innego. Obserwowałem cię wczorajszego wieczoru, kiedy opowiadałaś mi o Lunie. Byłaś wzburzona, wręcz zła. Śmierć jest w końcu ostatecznym porzuceniem.

Zaczerwieniła się, lecz nie próbowała zaprzeczać.

- Dostałam Lunę, kiedy miałam dwanaście lat. Nie była taka jak inne koty. Uczuciowa, zawsze chciała być blisko mnie. Byłyśmy przyjaciółkami. Owszem, kiedy umarła, poczułam się dotknięta. Byłam nawet zła, ale nie na nią. Tylko na życie. Na śmierć.

Adam czekał.

- To nieprawda - powiedziała nagle Iris. - Czułam się, jakby odeszła i opuściła mnie.

Ze wzburzenia musiała trochę mocniej ścisnąć kotka, bo pisnął i wyskoczył jej z ręki. Jednym susem znalazł się na tylnym siedzeniu. Potem zaczął skakać po całej kabinie Esmeraldy, a olbrzymie czarno-białe uszy sprawiały wrażenie, że fruwa na nich jak na skrzydłach. Było to tak komiczne, że Adam wybuchnął śmiechem,

- Łap go - zdenerwowała się Iris. - Okna są otwarte. Nie siedź tak. Łap go!

- Przecież usiłuję go złapać - śmiał się Adam. - To chyba jakiś pasikonik. Mam go!

- Przygotuj pudełko. Zamknij okna. O Boże, Kima jest na zewnątrz. Połknie go.

Adam złapał niesamowity ogon, ale natychmiast został podrapany. Zaklął i spróbował ponownie. Bez powodzenia.

- Kima nic mu nie robi - wysapał zmęczony śmiechem. - Prędeż ja, kiedy złapię tego małego piskorza.

Iris zamknęła okno od swojej strony. Kiedy roześmiana przechyliła się, by zrobić to również od strony Adama, ten pochwycił ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie.

- Jeżeli przestaniemy go łapać, on się uspokoi. Siedź cicho.

- Adamie - szepnęła. - To bardzo niepewny grunt.
- Wiem - odparł - ale chyba przestałem się tym przejmować.

Zapadła niezręczna cisza.

- Ale ja tak. - Jej głos zabrzmiał stanowczo. - Puść mnie. Z wysiłkiem rozluźnił uścisk.

- Przepraszam - powiedział, kiedy zdołał się opanować.

Rumieniec i delikatny pot na twarzy Iris można było złożyć na karb upału. Czarno-biały kociak przycupnął na desce rozdzielczej za kierownicą. Iris złapała go i przytuliła policzek do futerka.

- Miałeś rację. Uspokoił się, kiedy tylko przestaliśmy go łapać. Chyba już możemy otworzyć okna.

- Iris.

- Nazwę go, zgodnie z twoją sugestią, Pasikonikiem.

Nigdy nie widziałam kota, który by umiał skakać i fruwać jednocześnie. Zobacz, jakie ma zielone oczy.

- Iris - powtórzył.

- Nie. Niczego nie wyjaśniaj. Podaj mi raczej mapnik. Pokażę ci nowe tunele.

W milczeniu podał jej mapnik. Rysowała tunele z bibliotekarską precyzją. Tunele...

Tym razem nie bolała go głowa. Kiedy stali przed wejściem do tunelu, Iris po jednej stronie, Tommy po drugiej, on musiał wybierać, kogo poprzeć. Właściwie to niczego nie wybierał. Zamiast bólu głowy, czuł jedynie wściekłość. Kiedy zobaczył, jak Tommy złapał ją za rękę, był gotów go rozszarpać.

Lecz znowu prosi go o zachowanie rejonu starej kopalni. Żąda wyboru pomiędzy swoim marzeniem a przetrwaniem projektu Rainbow.

- Adam?

Opuściła szybę po swojej stronie, wpuszczając świeże powietrze do kabiny. Oddał jej papiery i zrobił to samo. Wtuliła głębiej Pasikonika i pokazała Adamowi szkic rozgałęzienia z zaznaczoną czerwonym flamastrem piątką.

- To tu znalazłam zawiniątko - powiedziała. - Główny tunel biegnie na północ od wejścia, a do piątego rozgałęzienia jest jakieś pięćdziesiąt metrów. Tunele rozgałęziają się na prawo i lewo, to znaczy na wschód i na zachód. Nie wiem, jak daleko sięgają w głąb. Dziś po południu...

- Nieistotne, jak daleko sięgają - przerwał jej Adam. - Już pobrałem próbki ze wschodniego krańca. Teraz kończę analizę. Juro rano jadę do Carson przedstawić wyniki.

Iris popatrzyła na Pasikonika, który zwinięty w kłębek na jej kolanach mrucał przez sen.

- I jakie są wyniki?

- Bardzo dobre.

- Zatem ludzie z Eagle Valley powinni być zadowoleni.

- Tak sędzę.

- Ile czasu minie, zanim zaczniecie odwierty?

- Niewiele. Kilka dni.

Przytuliła twarz do kotka. Nie mógł odgadnąć, czy płacze.

- Cieszę się - rzekła zduszonym głosem. - Cieszę się, że wyniki są dobre.

- Wiem.

- Chciałabym... - Głos jej się załamał, przełknęła ślinę i potarła policzek o kota.

- Co byś chciała?

- Chciałabym z nimi porozmawiać. Opowiedzieć im o prababci Iris, o cholery i o naszyjniku. O Donaldzie Fontenocie, jego strasznej księżce i że parotygodniowa zwłoka pomogłaby uratować prawdę. Wiem, że ich przekonam.

- To są ludzie interesu, Iris. Nie interesuje ich historia.

- Chyba nie. - Spuściła głowę.

Poczuł, że serce mu pęka. To nie może być miłość, bo miłość jest zachłanna i zaborcza. Miłość to jest uczucie dzielące mego ojca i matkę. Miłość to ich żądanie wyłączności moich uczuć. To, co czuję do Iris Merlin nie ma z tym nic wspólnego. To raczej zrozumienie. Współczucie. No i oczywiście pożądanie.

Chciałbym ją zabrać do Carson i dać jej szansę. Z drugiej strony nie powinna ze mną jechać. Wystarczająco źle się czuję w tym gmachu ze szkła i stali, przy stole pachnącym sterylnymi pieniędzmi. Jeśli stanę w środku sporu pomiędzy ludźmi z Eagle Valley a Iris, mogę tego nie wytrzymać.

Mimo wszystko dał jej szansę.

- Czy masz w sobie żyłkę hazardu? - spytał.

- Żyłkę hazardu? - powtórzyła, nic nie rozumiejąc.

- Nie sędzę, żeby coś dobrego wynikło z twojej rozmowy z tymi ludźmi. W dodatku wyprawa do Carson zajmie nam cały dzień. Powinnaś być tu i

przeszukiwać tunele. Tommy już ci nie będzie przeszkadzał, obiecuję. Czy zaryzykujesz stratę jednego dnia?

- Tak - odparła. Oczy jej rozblęły. - Poświęcę dzień, jeśli będę mogła z nimi porozmawiać.

- Ostrzegam cię. Jeśli się nie zgodzą, zacznę odwierty.

- W porządku, wiem.

- Zatem jutro o siódmej.

- Poproszę Lenę, żeby zaopiekowała się Pasikonikiem. Och, Adamie, miałeś rację. Chyba nie odważyłabym się wziąć innego kota.

- Cieszę się, że go polubiłaś.

- Ja go kocham. - Poglaskała wielkie uszy. Kotek obudził się, a Iris pocałowała go w różowy nosek. - Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia. Pasikoniku,

Ciekawe, moja droga Iris, pomyślał Adam, czy kiedykolwiek w życiu powiesz to nie tylko kotu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Iris była jedyną osobą nie noszącą dżinsów.

- Nie do wiary - szepnęła do Adama, kiedy zajmowali miejsca przy stole.
- Nie dziwiłam się, że ty jesteś w dżinsach, ale oni - biznesmeni?

Uśmiechnął się słabo.

- To jest Nevada. A to nie są zwyczajni biznesmeni. W końcu robią interes ze mną.

Kobieta, która przedstawiła się jako Caroline Wellcome rozpoczęła zebranie. Wysoka, szczupła blondynka w obcisłych dżinsach i kowbojskich butach sama wyglądała na poszukiwaczkę skarbów.

- No, Adamie...

Adam położył teczkę na stole.

- Tu są wszystkie dane.

- Czytanie potrwa zbyt długo. Streszczaj się.

- Obiecujące.

Caroline Wellcome przekartkowała sprawozdanie.

- Hej! To jest bardziej niż obiecujące. Roger, rzuć na to okiem. - Wręczyła dokumenty człowiekowi siedzącemu po prawej stronie. - Iris - dodała z zawodową uprzejmością w głosie. - Miło mi cię wreszcie poznać, tyle o tobie słyszałam od Adama. Przyszłaś poinformować nas, jak przebiegają przygotowania do weekendu?

- Nie.

- Jakież kłopoty? - Caroline uniosła brwi.

- Nie, nie ma żadnych kłopotów, ale nie przyszłam też opowiadać o przygotowaniach do weekendu.

- W takim razie po co?

Najwyraźniej nie owijała niczego w bawełnę. Iris wzięła głęboki wdech i przystąpiła do rzeczy.

- Przyszłam prosić o zwłokę.

- O zwłokę? W sprawie weekendu?

- Nie. O zwłokę w odwiertach w miejscu, skąd Adam pobrał te próbki.

- To niemożliwe - nasrożyła się Caroline. - O co tu chodzi, Adamie?

- Iris nie miała czasu na zbadanie wszystkich tuneli w sztolniach starej kopalni - odparł dziwnie spiętym głosem. - Tych miejsc, w których jej zdaniem Tęczowa Narzeczona ukryła naszyjnik.

Iris położyła dłoń na jego ramieniu, sygnalizując w ten sposób, że sama sobie poradzi. Pod jej dotknięciem mięśnie Adama napięły się. Cofnęła rękę.

- Szukam...

- Adam mi wspominał - przerwała jej Caroline - o legendarnym naszyjniku. Czy jest choć wartościowy?

- Nie wiem, dla mnie jest bezcenny.

- Pieniądze to nie wszystko - zauważył Adam. Caroline postukała paznokciami o blat i popatrzyła na niego.

- Czy to dlatego tak długo trwało zbieranie próbek? - spytała w końcu. - Razem szukaliście naszyjnika?

- Nie - powiedziała Iris.

- Nie bądź śmieszna - prychnął Adam.

W jego głosie niebezpiecznie pobrzmiwała znajoma nuta. Zerknęła na niego. Twarz miał bez wyrazu, oczy pozbawione blasku. Już to przedtem widziała i słyszała. Tego wieczoru w tunelu. Tak właśnie wyglądał, kiedy wyszedł ze sztolni. Taki był, kiedy wiozła go półślepego do Felicity. Zaraz zaczęło się kolejny atak.

Dotknęła jego ręki, potem odwróciła się w stronę Caroline.

- Adam starał się trzymać mnie z dala od prac. Dlatego proszę o zwłokę.

- Chcemy ocenić nasze szanse w Rainbow i nie możemy czekać w nieskończoność. My tu prowadzimy interesy, Iris. Niezależnie od tego, jakich romantycznych ideałów broni Adam, pieniądze są dla nas podstawowym wykładnikiem wartości.

- Caroline - zaczął Adam.

Iris zacisnęła palce na jego ręce. W porządku. Nie musisz walczyć o moją sprawę.

- Rozumiem - odparła spokojnie. - Ale czy moglibyście mnie wysłuchać? Tylko pięć minut.

Caroline Welcome spojrzała na Adama, potem znowu na Iris.

- Dobrze. Pięć minut.

- Człowiek nazwiskiem Donald Fontenot pisze książkę o Tęczowej Narzeczonej - zaczęła Iris. - O tamtej Iris Merlin. Odnalazł mnie i przedstawił swoją wersję opartą na starych legendach, półprawdach i zwykłych kłamstwach. Kiedy próbowałam powiedzieć mu prawdę, nie słuchał. Oznaczałoby to, że musi wyrzucić wszystko, co do tej pory napisał

i zacząć od nowa, a on chce to opublikować. Wykłada folklor i historię Ameryki na uczelni w Arizonie i chce otrzymać etat.

- Porozmawiaj z wydawcą.

- Już próbowałam. To wydawnictwo uniwersyteckie. Są zachwyceni książką Donalda. Uważają ją za komercyjny sukces.

- Porozum się z prawnikami.

- Tego również próbowałam. Powiedzieli, że nic z tego, bo nie mam żadnych listów, dokumentów czy dowodów.

- A naszyjnik będzie dowodem?

- Niepodważalnym. Jedną z kluczowych tez Donalda Fontenota jest to, że Iris wywiozła go do Kalifornii i tam sprzedała. Kiedy znajdę naszyjnik, udowodnię, że cała jego dokumentacja jest sfabrykowana.

- Czy to naprawdę takie ważne? - Caroline spojrzała na zegarek.

- Oczywiście, że tak - odparła Iris. - Moja cioteczna prababka umarła na cholere, próbując pomóc ludziom i nie zasługuje na to, żeby Donald Fontenot znieważał ją pośmiertnie.

- Jest jeszcze pewien istotny drobiazg - odezwał się Adam. - Chodzi o profesora historii, który powinien być obiektywny, a tymczasem manipuluje faktami i prawdą.

Iris usłyszała w jego głosie ton zniecierpliwienia. Do cholery, Adamie, pomyślała gniewnie. Co ty wyprawiasz? Dlaczego usiłujesz mi pomóc? To moja walka.

- Czy jesteś pewna, że naszyjnik tam jest? Absolutnie pewna? Jesteś przekonana, że go znajdziesz?

- Wydaje mi się, że znalazłam dowód na to, że Iris Merlin była w tunelu. Sądzę, że jest tam również naszyjnik, ale nie mam absolutnej pewności.

- No cóż, tego akurat jestem pewna. - Caroline wskazała na raport Adama. - Prosisz o zwłokę. Jaką?

- Miesiąc... no, choćby dwa tygodnie, żebym zdążyła przeszukać tunele.

- To niemożliwe. W zarządzie są ludzie, którzy z rezerwą odnoszą się do projektu Rainbow i nie chcemy dostarczać im nowych argumentów. Co masz do powiedzenia w tej sprawie, Adamie?

- Nie mówię wyłącznie w moim imieniu - odezwał się, cedząc słowa Adam. - Występuję również w imieniu wszystkich udziałowców. Całe Felicity czeka na kontynuację prac.

- Czyli ty również jesteś przeciwny zwłoce.

- Mówiłem „nie” od samego początku.

- Dobrze. Tak trzymaj. - Odwróciła się w stronę Iris. - Przykro mi. Czy to sprawi ci jakieś trudności przy organizowaniu weekendu starej Felicity?

Iris przełknęła ślinę.

- Nie - powiedziała - jeśli nie będzie przeszkadzało wam to, że do ostatniej chwili będę szukała naszyjnika.

- Dostarczenie dodatkowego wyposażenia potrwa dzień czy dwa. Przez ten czas szukaj sobie, ile chcesz, byle w wolnych od pracy godzinach. Nic ci nie jest, Adamie? Wyglądasz jak wbity na pal.

- Czuję się świetnie.

- Zatem powodzenia. Następnym razem oczekuję dobrych wyników wierceń w strefie czwartej. Chodź, Roger.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Iris stała przez chwilę, wpatrując się w stół. Obraz robił się zamglony, ale postanowiła, że się nie rozpłacze.

- Czy ona już poszła? - zapytał Adam.

- Poszła. Nie potrzebowałam wcale twojej pomocy. Dobrze sobie z nią radziłam.

Próbował się zaśmiać.

- Ja też nie potrzebuję twojej pomocy ani współczucia.

- Co się stało, Adamie? Co ci jest? - zaniepokoiła się Iris.

- To konieczność dokonywania wyboru... pod presją. Zaczynam wreszcie rozumieć przyczynę. Chodźmy stąd.

- Nie możesz prowadzić.

- Wystarczy, że chwilę odpocznę.

Wyruszyli do Felicity dopiero przed ósmą wieczorem.

Adam był blady, ale nie miał zakłóceń widzenia i ruchu, jak to się przytrafiło w tunelu.

Popołudnie spędzili w bibliotece stanowej. Adam czytał coś w oświetlonej słońcem sali, Iris szukała materiałów o gorączce złota w Felicity i Rainbow. Czuła się nieco winna, że nie robi tego, zgodnie z sugestią Caroline, wyłącznie w wolnym czasie, ale spytała również o dane dotyczące Tęczowej Narzeczonej. Znalazła tylko jeden pożółkły wycinek lokalnej gazety z Felicity, informujący o ślubie Iris i opisujący jej słynną suknię. Dyżurny bibliotekarz zrobił kserokopię.

- Posłuchaj - powiedziała do Adama, kiedy zmierzali na wschód drogą numer 50 w stronę Fallon. - Reporter przeprowadził wywiad z moją babką. Przytacza jej wypowiedź, gdzie Iris własnymi słowami opisuje suknię.

- Aha - odparł Adam. Pod oczami miał cienie, ale poza tym wyglądał normalnie. - Co powiedziała?

- „Suknia została uszyta z najdelikatniejszego francuskiego muślinu, podobnie jak i welon - czytała Iris. - Nie włożę niczego białego”.

- Ciekawe - powiedział Adam. - Zastanawiam się, jaką bieliznę nosiła.

- Zapewne tęczowy gorset. Był rok 1907 i wszystkie kobiety nosiły te okropne rzeczy. Szkarłat jako symbol namiętności, heliantyn szczęścia...

- Heliantyn?

- Oranż.

Zerknął na nią. Po raz pierwszy od zakończenia zebrania zobaczyła, że się uśmiechnął.

- Skąd znasz takie słowa?

- Jako bibliotekarka znam różne wyrazy. Żółty oznacza światło, różowy to miłość. Zielony życie. Turkusowy zapewni powodzenie, niebieski nadzieję, indygo wieczność, a fiolet pomoże przewyciężyć trudności.

- Koniec końców nie przewyciężyła trudności.

- No... nie wiem - powiedziała Iris. Coś ścisnęło ją w gardle. - Robiła to, co chciała, poślubiła człowieka, którego kochała i umarła, próbując pomóc innym ludziom. Jej życie nie było w sumie takie złe.

- Chyba nie - przyznał Adam.

- Zaczynasz wierzyć w Iris Merlin? Może.

Iris znów zerknęła na kserokopię.

- „Na lewym ramieniu - czytała dalej - miałam broszkę z czystego srebra z kopalni w Comstock. Brosza na prawym została wykonana ze złota wydobytego w Rainbow”. - Potem reporter spytał ją o naszyjnik. Odparła: - „Naszyjnik łączy w sobie symbole mojego życia i mojej miłości. Złoto, srebro i wszystkie kolory”.

- Czy Donald Fontenot wspomina o tym? - spytał Adam. - Że naszyjnik był ze złota i srebra?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Kolejny dowód na twoją korzyść. Jeżeli... - urwał.

- Jeśli go znajdę - dokończyła Iris - w ciągu tych kilku dni, zanim zaczniesz wierzyć w tej strefie.

- Przepraszam, próbowałem cię uprzedzić.

- Wiem. - Złożyła starannie kserokopię i schowała do torebki.

Adam skręcił na zachód, na drogę 95 do Fallon. Ukołyszana ciszą i zapadającym zmrokiem Iris zamknęła oczy. Mam jeszcze kilka dni, pomyślała. Wszystko może się zdarzyć...

Szarpnięcie, pisk hamulców i ostrzegawczy krzyk Adama zlały się jedno. Iris ocknęła się w środku wirującej ciemności rozświetlonej reflektorami Esmeraldy. Wzrokiem szukała gorączkowo czegoś stałego, ale nic nie było stałe. Wszystko obracało się w niewłaściwą stronę, zbyt szybko, zbyt nagle, za gwałtownie. Przeróżliwy pisk opon. Potem gwałtowne uderzenia. Pasy wpiły się jej w obojczyk, między piersiami i w talii.

Coś pokręciło się z grawitacją. Podłoga zamiast pod nią, znalazła się nad nią. Smród rozgrzanego metalu i spalonej gumy, smak krwi w ustach. Cisza.

Iris słyszała, jak serce tłucze się jej w piersi. A więc żyje. Ręce i nogi wydawały się nietknięte. Krew z boleśnie przygryzionego języka. Pasy bezpieczeństwa cisnęły ją boleśnie, więc odruchowo sięgnęła, by je odpiąć. Wówczas uświadomiła sobie, że Esmeralda leży na boku i jedynie pasy przytrzymują ją przed upadkiem na...

- Adam?

Nie było odpowiedzi. Wparła się stopami w podłogę furgonetki i sięgnęła w jego stronę. W ciemnościach widziała jedynie sylwetkę. Ramię i policzek miał ciepłe.

- Adam - powtórzyła - nic ci nie jest?

Wciąż nie było odpowiedzi. Pomyślała, że musi wydostać się z samochodu. Wówczas będzie mogła sprawdzić, czy jest ranny, nieprzytomny, czy...

Wydawało się, że mijają godziny. Drzwi zdawały się ważyć tonę. Wreszcie udało się jej otworzyć je i złapać za framugę. Podparła się na tyle, że mogła odpiąć pasy. Szlochając z wysiłku, wydostała się na zewnątrz.

Czuć było benzynę. Z nie wyjaśnionych powodów Esmeralda wypadła z szosy, przewróciła się na bok i utknęła w kępie krzaków. Księżyc w drugiej kwadrze oświetlał góry na wschodzie. Droga była pusta. Nic nie mąciło ciszy.

- Boże - szepnęła - spraw, żeby mu się nic nie stało. Wdrapała się z powrotem do kabiny, przeklinając wąską spódnicę. Chciałaby mieć raczej dżinsy i buty, jak Caroline Wellcome. Adam poruszył głową. W pierwszej chwili wydawał się niepodobny do siebie.

- Adam, nic ci nie jest?
- Chyba nie. Wszystko jest jakieś niewyraźne. A ty?
- W porządku. Dasz radę stąd wyjść?

Odpiął pas i wstał. Kiedy wychylił głowę na zewnątrz, dostrzegła krew na rękawie i dłoni.

- Jesteś ranny!
- Nie, to zwykłe skaleczenie. O Boże! Chyba zaraz... Pomóż mi, Iris. Podała mu rękę.

- Trzymaj się. Musiałeś uderzyć o coś głową. Nic dziwnego, że masz zawroty.

Przez chwilę opierał się o siedzenie. Kiedy poczuł się lepiej, podciągnął się i wydostał z samochodu. Zajrzał do środka.

- Adamie - powiedziała. - O Boże, teraz mnie zrobiło się słabo. Czy mógłbyś mi pomóc wyjść?

- Oczywiście. Weź mnie za rękę.

Kiedy stanęła na ziemi, nagle zaczęła chichotać.

- Och, Adamie - usiłowała się opanować - to takie zabawne.

- Wypadliśmy z szosy w środku nocy i utknęliśmy tu na kilka godzin. Mamy szczęście, że nie odnieśliśmy poważniejszych obrażeń, a ty uważasz to za śmieszne?

- Nie, nie to. Chodzi o to, co przed chwilą powiedzieliśmy. Poprosiliśmy się wzajemnie o pomoc! A przecież po tym głupim zebraniu prędzej byśmy umarli, niż przyznali się, że potrzebujemy od siebie pomocy.

Adam przez chwilę milczał. Potem nagle uśmiechnął się szeroko.

- Masz racje. Co się z nami wtedy stało?
- Nie wiem, ale wolę tak, jak jest teraz.
- Ja również. Dotknęła jego twarzy.
- Leżałeś taki cichy, że myślałam, iż nie żyjesz.
- Nic mi nie jest - powiedział. - Naprawdę.
- Udowodnij mi to - szepnęła. Pochylił się i pocałował ją.
- Nigdy przedtem tego nie robiłaś.
- Czego?

Znów ją pocałował, tym razem nieco dłużej.

- Poprosiłaś mnie, żebym cię pocałował.

Iris cofnęła się. Odruchowo zacisnęła pięści. „Nikogo nie potrzebuję...” - przypomniała się jej stara śpiewka.

- Tego nie powiedziałam.

Wziął ją za rękę, rozluźnił zaciśnięte palce i położył je sobie na policzkach. Czowała ruch mięśni, kiedy uśmiechał się.

- Owszem. A skoro prosimy się nawzajem o pomoc, możemy również poprosić o pocałunek. Taki jak ten.

Odsunął jej włosy z twarzy. Nieświadomie przycisnęła mocniej dłonie. Najpierw delikatnie musnął ustami jej powieki, potem koniec nosa. Wreszcie zamknął jej usta pocałunkiem.

Wątpliwości rozwiały się. Opór zniknął. Wspięła się na palce, by być jak najbliżej Adama. Objęła go za szyję. Nie można było być zbyt blisko. Drżeli oboje, a wokół panowała cisza i ciemność.

Światła pojawiły się równie nagle, jak zniknęły. Odskoczyli od siebie, ale samochód widać było jedynie jako czerwony punkcik w oddali.

- I to był zapewne jedyny samochód, jaki będzie tędy przejeżdżał do rana - powiedział Adam i zaklął.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Iris, wciąż oszołomiona smakiem jego ust. - Ostatnim punktem odniesienia, jaki pamiętam, było jezioro.

- Jezioro Walker. Jesteśmy w połowie drogi między Hawthorne a Coaldale. Podejrzewam, że nie masz telefonu komórkowego w torebce.

- Nie - przyznała. - Oddałam go do naprawy. Mam za to dwie pomarańcze, książkę i zapasowe rajstopy.

- Ja mam koc, wodę, apteczkę i narzędzia. Nie na wiele jednak zdadzą się teraz biednej Esmeraldzie. Spróbujmy się jakoś przygotować do spędzenia nocy na pustyni.

- Dlaczego wypadliśmy z drogi?

- Z powodu żółwia na środku jezdni.

- Żółwia? W Nevadzie?

- Pustynny żółw, panno z Minneapolis. Nasz miejscowy gad. Nie chciałem go przejechać.

- I omal nas nie zabiłeś.

- Przepraszam, ale to był odruch.

Przytuliła się do niego i kładąc mu głowę na piersi, słuchała bicia jego serca. Cały Adam. Nie mógłby skrzywdzić dzikiego stworzenia. Dzięki Bogu, że nic nam nie jest, że ta ciemność w jego oczach była tylko chwilowa. Gdyby coś mu się stało...

- Czy naprawdę sądzisz, że spędzimy tu resztę nocy? - zapytała.

- Może. Przynajmniej do chwili, kiedy pojawi się następny samochód. To nie jest zbyt uczęszczana droga.

- W takim razie przydałoby się nieco komfortu. Pomóż mi oczyścić kawałek ziemi z tych kłujących krzaków.

- Ja zajmę się krzakami - odparł - a ty weź koc i wodę. Są w skrzynce na platformie. Uważaj, bo teraz otworzy się odwrotnie.

Kiedy Adam przygotował grunt, złożony potrójnie koc posłużył jako wygodne siedzenie. Oparli się o dach Esmeraldy. Iris zdjęła pantofelki i podwinęła nogi.

- Nie jest źle - stwierdziła. - Teraz wystarczy tylko wypatrywać reflektorów.

- Czy w ten zawołowany sposób - spytał Adam - dajesz mi do zrozumienia, że już nie będziemy się całować?

- Przegapiliśmy tamten samochód, bo byliśmy zajęci...

- Zajęci?

- No, wiesz czym.

- W odległości dwudziestu kilometrów nie widać żadnych świateł. Możemy chyba poświęcić minutę czy dwie na te... zajęcia.

Pochylił się w jej stronę. Iris zobaczyła, że ma na głowie szramę.

- Rozciąłeś sobie głowę - zaniepokoiła się. - Nie zauważyłam tego wcześniej

- To nic.

- Wręcz przeciwnie. - Dotknęła jego czoła i zorientowała się, że oprócz rozciętej skóry Adam ma wielkiego guza. - Powinnam się zorientować. Przecież byłeś przez chwilę nieprzytomny.

- Niczego nie pamiętam. Zobaczyłem żółwia, skręciłem i Esmeralda wpadła w poślizg. Potem mi się przyglądałaś.

- Miałeś wstrząs mózgu, powinien zbadać cię lekarz.

- Zaraz skoczę do kliniki za najbliższym krzaczkiem -zakpił.

- Mówię poważnie.

- Nie lubię lekarzy.

- Wiem, ale mogliby ci pomóc. Choćby z tymi bólami głowy.

- Na to nic mi nie pomoże.

Przytuliła go do siebie. Pustynia była rozległa i cicha. Wszystkie kłopoty dnia codziennego wydawały się odległe.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła. - Dziś atak był o wiele słabszy, a ty wspomniałeś, że zaczynasz coś z tego rozumieć.

Wsunął dłoń w jej włosy, z których wypadła ostatnia spinka i rozsypały się luźno.

- To zaczęło się, kiedy miałem jedenaście lat. Po rozwodzie rodziców. Matka zabrała mnie do Bostonu, ojciec wyjechał na Alaskę. Rozdzieliła ich również odległość.

- Niełatwo podzielić się małym chłopcem - zauważyła.

- Nie mieli zwyczaju dzielić się czymkolwiek, a już na pewno nie mną.

Przypomniała sobie, jak napomykał, że traktowali go niczym cenne dobro, ciągnąc wszędzie za sobą. A dziś... „To konieczność dokonywania wyboru... pod presją. Zaczynam wreszcie rozumieć przyczynę.”

- To wcale nie kłótnie są tego przyczyną - pojęła nagle - a konieczność dokonania wyboru pomiędzy dwiema rzeczami, na których ci zależy.

- Kochałem moich rodziców, ale oni wymagali, żebym wybrał między nimi. Do tej pory matka usiłuje zmusić mnie do wyznania, że nienawidzę ojca. Nie potrafiłem zrobić tego wówczas, nie mogę i teraz.

- To dlatego, kiedy dorosłeś, wróciłeś do Felicity. Tu byłeś szczęśliwy.

- Tak, przez większość czasu mogłem się poświęcić temu, co lubię. Oprócz tego jest tu otwarta przestrzeń i spokój.

- Była, dopóki ja się nie zjawiłam. Mięśnie lekko mu drgnęły.

- Dopóki się nie zjawiłaś - przyznał.

- Nic z tego nie rozumiem. Z jednej strony jest, rzecz jasna, Felicity i złoto Rainbow, z drugiej ja i naszyjnik. Jednak ból głowy pojawia się tylko wtedy, kiedy masz wybrać między dwiema sprawami, na których ci zależy...

- No właśnie - powiedział zduszonym głosem. Wciąż bawił się jej włosami.

- Robisz to, przed czym się zarzekałeś.

Poruszył się lekko. Miała wrażenie, że chce ją pocałować w czubek głowy.

- Co takiego?

- Dajesz mi szansę zranić cię.

- Tego chcesz?

- Nie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Co zrobisz, kiedy już znajdziesz naszyjnik? - spytał.

- Chciałabym tu zostać - odparła, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. - W Nevadzie. Ona tu żyła i ja chciałabym tu zamieszkać. Napiszę własną książkę o Tęczowej Narzeczonej i o poszukiwaniu naszyjnika. Znajdę sobie

pracę w bibliotece i będę żyła długo i szczęśliwie. A ty, co zrobisz, kiedy wreszcie znajdziecie złoto w Rainbow?

- Spłacę moich inwestorów. George'a, Tommy'ego i resztę.

- Pomożesz w rozwoju Felicity.

- Spróbuję. Chcę zbudować przychodnię, żebyśmy mieli własnego lekarza. Potrzebujemy szkoły i biblioteki. Odrestaurowałbym również stare budynki.

- I zbudujesz plac zabaw - przypomniała mu - z drabinkami dla Samantha. Ludność zwiększy się do 800 mieszkańców i Lena będzie miała więcej gości, niż zdoła zamarzyć.

Roześmiał się.

- Czy wiesz, gdzie spotykają się nasze marzenia?

- Gdzie?

- W bibliotece. Jeżeli wybuduję bibliotekę w Felicity, przyjmiesz tara posadę bibliotekarki?

- Och, tak. To będzie najlepsza biblioteka w całym stanie.

- Zatem zawrzyjmy umowę. Ja zbuduję bibliotekę, w której ty napiszesz książkę o Iris Merlin. Tak zapoczątkujemy zbiory historyczne tej części Nevady.

- Naszyjnik umieszczę w szklanej gablocie i ludzie będą przyjeżdżać do Felicity, żeby...

Adam uniósł głowę.

- Co to? - spytała.

- Samochód.

W oddali zaśniły światła. Gwiazdy przybladły. Czar prysnął, wracali do rzeczywistości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Zabierz ją stamtąd - powiedział Tommy Killian. - Jesteśmy gotowi, ale nie możemy zacząć, dopóki ona jest w tych cholernych tunelach.

- Spokojnie - odparł Adam. - Pół godziny w tę czy tamtą stronę nie robi różnicy.

- Czy sądzisz, że wyjdzie do tego czasu? Nigdy nie widziałem bardziej upartej kobiety.

Znów w polu widzenia Adama pojawiła się poświata. Wziął głęboki oddech i pomyślał o nocy na pustyni i zapachu krzewów. O ciepłe przytulonej do niego Iris.

„Jednak ból głowy pojawia się tylko wtedy, kiedy masz wybrać między dwiema rzeczami, na których ci zależy...”

Poświata zbladła.

- Powiem ludziom, że za pół godziny - dodał Tommy. Iris wstawiła drewnianą drabinę do wejścia do sztolni,

żeby łatwiej dostawać się do wewnątrz. Ustawiła lampy na każdym rozgałęzieniu, by paliły się, kiedy była w tunelach. Sprawiało to wrażenie życia i pracy. Adam niemal widział wędrujące tunelami sylwetki dawnych górników.

Zawiniątko z ziołami znalazła przy piątym rozwidleniu. Adam poszedł śladem lampy. Za zakrętem paliło się ich znacznie więcej. Najwyraźniej Iris postanowiła, że nie utknie ponownie w ciemnościach.

- Iris? - zawołał.

Odpowiedziało mu echo. Zasepił się. Oczywiście, oboje wiedzieli, że ta chwila nadchodzi nieubłaganie, ale przez to nie było im łatwiej.

- Iris - powtórzył.

- O co chodzi? - spytała.

Pojawiła się na końcu tunelu bezszelestnie niczym duch. W półmroku zauważył, że miała jasnoniebieski podkoszulek, pasujący kolorem do jej oczu, usta zasłonięte chustą. Włosy jak zwykle upięła wysoko. Wyglądała na zmęczoną.

- Już czas - powiedział. - Musisz stąd wyjść. Zerknęła na trzymany w ręku mapnik.

- Przeszukałam trzy czwarte tego odgałęzienia. - Przesiedziałam tu całą noc i nie wiem...

- Iris - powiedział najłagodniej, jak umiał - to już bez znaczenia. Musisz stąd wyjść.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami syjamskiego kota. Co mam zrobić, jeśli odmówi wyjścia na powierzchnię, pomyślał. Pozwolić jej żywcem się pogrzebać, czy wywlec ją stąd siłą?

Tym razem oprócz poświaty pojawił się szum w uszach. Czuł, jak ból czai się do ataku. Czekał.

- Dobrze - powiedziała. Głos jej drżał, lecz nie było w nim płaczu ani złości. - Już idę, pomóż mi pozbierać lampy.

Szedł za nią, gasząc i zbierając mijane światła. Przystanąła na piątym rozwidleniu.

- Po drugiej stronie jest więcej tuneli. Zaczęłam z przeciwnej, bo wiem, gdzie zaczniecie odwierty.

- Kiedy zawali się część tuneli, pozostałe też nie będą bezpieczne. Obiecuj mi, że nie będziesz więcej penetrowała ani bocznych tuneli, ani głównego.

Nic nie odpowiedziała. Światło lamp rzucało na jej twarz fantastyczne cienie. Przez chwilę była do siebie niepodobna.

- Obiecuj - nalegał.

- Obiecuję - powiedziała.

Zabrzmiało to obco. Iris Merlin była uparta i energiczna, a obietnicę złożyła roztrzęsiona kobieta.

Adam odłożył lampy i objął ją. Światło tańczyło po ścianach. Iris schyliła się po lampy, lecz w końcu położyła mu głowę na ramieniu. Przeszedł ją dreszcz.

- Nie płacz - prosił. - Iris, nie płacz. Staraj się bardziej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

- Byłam taka pewna że go znajdę - odparła. Przytulił ją mocniej. Znów zadrżała.

- Może wcale go tu nie ma - szepnął. - Mógł zostać schowany gdziekolwiek. A może został w Rainbow i znalazł go jakiś szabrownik.

- Byłam pewna - powtórzyła.

- Ciii. - Położył palec na jej ustach. - Może być mnóstwo sposobów na obalenie tezy Donalda Fontenota. Choćby ten wycinek z biblioteki w Carson...

- Donald Fontenot - mruknęła - jest profesorem historii. Umie nie gorzej ode mnie posługiwać się źródłami. Jeśli jeszcze nie ma kopii tego wywiadu, to jestem królową Sabą.

Jej głos brzmiał odrobinę normalniej. Adam pieścił jej włosy.

- Pozostaje jeszcze Kalifornia. Wystarczy udowodnić, że nigdy jej tam nie było.

Iris parsknęła tłumionym śmiechem.

- Załatwisz mi pracę w San Francisco? Bo to długo potrwa. Miasto było spore już w 1907 roku. Wciąż je rozbudowywali po trzęsieniu ziemi w 1906. Ciężko udowodnić, że ktoś tam był, a już udokumentować, że kogoś nie było...

- Bardzo wygodne dla Fontenota, ale sama powtarzasz, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Odsunęła się od niego. Oczy miała zaczerwienione, ale nie widział śladów łez.

- Myliłam się, prawda?

Pozbierali lampy i poszli głównym tunelem do wyjścia. Iris nie obejrzała się ani razu. Energicznie wspięła się po drabinie. Adam ruszył za nią, obwieszony lampami jak choinka. Kiedy ruszyła w stronę czekających na sygnał maszyn, skurczyła się nieco.

Ból głowy ustąpił. Jednak Adam, parząc na Iris, czuł, że serce mu pęka.

- Nie mówisz tego serio - nie wierzyła Samantha Killian. - Nie pozwolicie Iris szukać naszyjnika? To nie w porządku.

Na twarzy dziewczynki malowała się niechęć. Iris położyła dłoń na jej ramieniu.

- Wszystko w porządku, Samantho. Adam i twój tata zachowali się bardzo dobrze. Teraz jednak muszą zacząć odwierty, żebyś mogła mieć swój plac zabaw.

Adam zachował się w porządku, powtarzała sobie. I tylko nie wiem, dlaczego chciałabym się położyć, zamknąć oczy i więcej nie wstać. Zawiodłam babcię Iris, ojca i wszystkich Merlinów...

- Czyż nie tak, Iris? - Samantha pociągnęła ją za rękę.

- Co takiego? - ocknęła się z zadumy Iris.

- Przecież jedną z atrakcji obchodów dnia Felicity ma być to, że włożysz znaleziony naszyjnik, kiedy ubierzesz się jak Tęczowa Narzeczona.

Iris zdumiona spojrzała na nią.

- Kto powiedział, że mam się ubrać jak Tęczowa Narzeczona?

- Ja. Właśnie to wymyśliłam. Och, Iris, wyglądasz zupełnie jak na tym portrecie. W naszymyjniku byłabyś wspaniała.

Wszyscy przyjechaliby na weekend, żeby cię podziwiać. Jednak... - Zerknęła na ojca. - Najpierw jednak musi znaleźć naszymyjnika - wyjaśniała mu, jakby to ona była dorosła, a on ośmiolatkiem. - Zamierzam jej w tym pomóc i nie powstrzymasz mnie.

- Nie mów do mnie tym tonem - powiedział Tommy Killian. - Nie będzie żadnego szukania naszymyjnika, teraz ani nigdy. Skończyłem.

- Posłuchaj, Samantha - odezwał się Adam - to dość skomplikowane...

- Sam sobie poradzę z własnym dzieckiem - przerwał mu Tommy. - Sammy, masz się trzymać z dala od tych tuneli. Zrozumiałaś? Bo nie weźmiesz udziału w uroczystościach.

- Samantha... - Iris przełknęła łzę.

- No dobrze, Samantha - powiedział z emfazą Tommy. - Poczekaj w furgonetce, młoda damo. Kiedy już zaczniemy, chcę z tobą chwilę porozmawiać.

- Chciałabym popatrzeć. Obiecałeś...

- To było przedtem. Marsz do samochodu. Dziewczynka zawahała się przez chwilę, potem obróciła

na pięcie i pobiegła w stronę zaparkowanych na uboczu aut. Kątem oka Iris zauważyła, że Adam daje dyskretnie znak leżącej w cieniu Kimantsi. Pies poderwał się i pobiegł za Samantha.

- Dzieci - wzruszył ramionami Tommy. - Jesteś gotów?

- Tak - odparł Adam.

I to było właściwie wszystko. Przygotowany sprzęt stał na wyznaczonym miejscu i maszyny ruszyły bez problemów. Iris miała ochotę wsiąść do Esmeraldy i pojechać do Leny Maxon, gdzie mogłaby przespać najbliższe sto lat. To oczywiście nie ma sensu. Należałoby raczej wziąć prysznic, przebrać się i nadal przygotowywać weekend.

Obiecałam to Caroline Wellcome i dotrzymam, ale... Pozbierała lampy i usiadła w cieniu, gdzie przed chwilą leżała Kimantsi.

Nie mogła oderwać oczu od robót. Łatwo było pojąć, że wiercenia osłabiają stare tunele. Adam miał rację. Staną się niebezpieczne. Jeżeli próbki będą odpowiednio bogate, nowa kopalnia pochłonie starą. Powstanie szkoła, przychodnia, biblioteka, remiza strażacka. Ze zmęczenia nie mogła sobie przypomnieć, gdzie miał powstać plac zabaw z drabinkami dla

Samanthy. 800 klientów dla Harry'ego i Leny Maxon. To wszystko znajdzie się na tym pustkowiu.

Biblioteka...

„Ja zbuduję bibliotekę, w której ty napiszesz książkę o Iris Merlin. Tak zapoczątkujemy zbiory historyczne tej części Nevady". Iris poczuła nowy przypływ energii. Może jednak nie wszystko jest stracone.

Adam miał rację co do tuneli. Być może również i w innych sprawach. Może wystarczyłyby bardziej wnikliwe badania niż te, które przeprowadził Donald Fontenot. Skoro nie mogę powstrzymać go przed opublikowaniem tej książki, udowodnię, że nic nie jest warta. W końcu jako bibliotekarka znam się na wyszukiwaniu materiałów. To jest historia mojej rodziny, której Fontenot nie zna. Jeśli Adam wybuduje bibliotekę...

Te rozważania przerwało jakieś zamieszanie.

- Sammy! - krzyknął Tommy Killian. - Sammy zniknęła. Czy ktoś ją widział?!

Wszyscy przecząco kręcili głowami. Adam Freemont wyłonił się ze swojej srebrnej przyczepy.

- Uspokój się, Tommy - zawołał. - Na pewno gdzieś tu jest. Poczekaj.

Gwizdnął przenikliwie, zagłuszając nawet huk maszyn.

Iris wiedziała, że gdyby Kimantsi znajdowała się gdzieś w zasięgu głosu, natychmiast przybiegłaby z powrotem. Ale nie przybiegła.

Iris wstała i podeszła do grupy mężczyzn.

- To twoja wina - powiedział na jej widok Tommy Killian. - Wszystko przez twój przeklęty naszyjnik.

- Moja wina? - zdziwiła się Iris. - Nie widziałam Samanthy od chwili, kiedy odesłałeś ją do samochodu.

- Poszła szukać na własną rękę. O Boże! Jest w tych tunelach...

- Przerwać wiercenia - rzucił ostro Adam. - Widziałaś gdzieś Samanthę czy Kime?

- Nie. Byłam zamyślona. Chyba nawet przysnęłam na chwilę.

Tommy zaklął i pobiegł w kierunku starej sztolni. Adam złapał Iris za rękę.

- Czekaj! Jeśli ona naprawdę tam jest, to tylko ty potrafisz ją odszukać i wprowadzić.

Iris wróciła w zacienione miejsce. Chwyła mapnik i trzy lampy. Kiedy dotarła do wejścia, Tommy już zniknął. Słyszała tylko, jak w ciemności nawołuje córkę. Zbiegła po drabinie.

- Tommy! - krzyknęła. - Gdzie jesteś?

Nie było żadnej odpowiedzi. Tommy gdzieś w oddali krzyczał tak głośno, że nie słyszał jej. Hałas, jaki powodował swoim krzykiem groził zawaleniem tuneli.

- Skierował się na wschód - powiedział Adam, schodząc tuż za nią. - Kiepsko, to słabsza strona.

- Nawet jeśli Samantha próbuje mu odpowiedzieć, zagłusza ją.

- Wcale jej tu nie ma - odparł. - Kimantsi wróciłyby do mnie. Wysłałem kilku chłopców do Felicity, żeby sprawdzili, czy nie wybrała się tam na piechotę.

- To szesnaście kilometrów.

- Ona jest nieobliczalna.

- Nie możesz mieć pewności. Tommy swoimi wrzaskami gotów jest zwalić sobie wszystko na głowę. Idziemy.

- Czekaj, to zbyt niebezpieczne. Daj mi mapy. Odsunęła się, zanim zdążył ją złapać.

- Niebezpieczne, ale nie dla mnie. Znam te tunele na pamięć. Będę tam szybciej niż ty. Weź je. Poszukasz w drugim rozgałęzieniu, a ja w pierwszym.

- Jesteś pewna, że poradzisz sobie bez map?

- Tobie są o wiele bardziej potrzebne. Tam, na górze, jesteś mądrzejszy ode mnie ze swoimi studiami, odwiertami i symulacją komputerową, ale ostatnie sześć tygodni spędziłam pod ziemią i to jest mój świat.

- Punkt dla ciebie - uśmiechnął się.

W tunelach od razu można było dostrzec skutki wierceń. Pokruszona ziemia zaścierała chodniki. Zaledwie trzy godziny temu, pomyślała Iris, obiecywałam Adamowi, że więcej tu nie wejdem.

Po lewej stronie, jak stwierdziła, zerkając na nadgarstki, krzyczał Tommy Killian. Jeden zakręt, potem drugi. Sytuacja w tunelach robiła się coraz gorsza. Ziemia sypała się jej na głowę.

- Tommy! - zawołała. - Tommy, ostrożnie. To wszystko zaraz zwali ci się na głowę.

- Sammy! Czy to ty?

- Nie, to Iris Merlin. Jestem za tobą. Adam też tu jest.

- Nie mogę jej znaleźć. Wokół same ślepe odnogi, a jej nie ma.

Biegł. Słyszała dudnienie jego nóg i wzburzony oddech. Więcej ziemi sypnęło się z sufitu. Po raz pierwszy Iris przeraziła się.

- Zatrzymaj się, Tommy! Nie pędź! Poruszasz się za... Głos odebrało jej głuche, powolne dudnienie. To był

najstraszniejszy odgłos, jaki słyszała w życiu. Zagłuszył krzyki i tupot nóg Tommy'ego Killiana. Potem wszystko ucichło.

- O Boże - szepnęła Iris. - Nie...

Niepomna na własne ostrzeżenie, zaczęła biec. Po dwóch zakrętach natknęła się na zwały piachu.

- Nie - powtórzyła i zaczęła kopać gołymi rękami. Tommy Killian nie lubił jej od początku. Najpierw te uszczypliwe uwagi w barze, potem podarł jedwab z zawiniątka, wreszcie miał pretensję o Samanthę...

Ale nie mogła go zostawić uwięzionego pod zwałami. Wszystko zależało teraz od tego, jak daleko znajdował się Tommy w chwili osunięcia ziemi. Natrafiła na ciepłe ciało.

W tym samym czasie z tyłu rozległy się kroki.

- Nie biegnij! - zawołała. - Wszystko się wali. Tommy jest uwięziony i próbuję go wydostać.

Dwie silne męskie ręce pomogły jej w pracy. Spod zwałów wyłoniła się ręka, potem głowa...

- Samanthy nie ma w innych odgałęzieniach - poinformował ją spokojnie Adam. - Tu jeszcze wszystko się trzyma. To chyba jedyny ocalały tunel.

- Podnieś mu głowę - powiedziała. - Czy jeszcze oddycha?

Adam oczyścił mu twarz z kurzu. Dwoma palcami zbadał tętno na szyi.

- Jest nieprzytomny, ale żyje.

- Ziemia zadusi go, jeśli zaraz go nie wyciągniemy. Iris, nie szcędząc paznokci, odrzucała ziemię całymi garściami. Kurz wzbił się w powietrze.

- Spokojnie. Oddycha. Odpocznij chwilę.

Otarła oczy ręką. Pot i łzy zmieszane z ziemią zmieniły jej twarz w maskę.

- Nie wierzę. Te tunele stały prawie sto lat. Nie mogły się zawalić. .

- Tylko główny chodnik jest podparty stemplami. Wszystkie tunele po tej stronie zawaliły się. Kiedy usłyszałem huk, pomyślałem... - Nie dokończył, tylko przytulił ją.

- Wiem - odparła odruchowo. - Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Uwolnijmy go jak najszybciej. Musimy jeszcze poszukać Samanthę.

Przytrzymał ją przez chwilę.

- Dobrze. Kop z góry na dół. Ale, na miłość boską, bądź ostrożna.

Zajął im to dwadzieścia minut. Tommy wciąż był nieprzytomny.

- Skoro go znalazłaś i w większości odkopałaś, ja go stąd wyniosę.

Przerzucił Tommy'ego przez ramię. Iris wzięła lampy i mapnik. W powietrzu było aż gęsto od kurzu, więc starannie sprawdzała każdy zakręt. Przy wyjściu czekała na nich grupka mężczyzn. Wiwaty i wyjaśnienia zlały się w jedno.

- Baliśmy się, że was już nie zobaczymy w jednym kawałku.

- Widzieliśmy, jak runęły tunele. Zapadła się cała sekcja.

- Znalezliśmy Samanthę.

- Żyje?

- Poszła pieszo do Felicity. Była wściekła jak cholera. Towarzysza! jej twój pies.

- Nic wam nie jest?

- Co z Samantha - zapytała Iris. Nie mogła myśleć o niczym innym. - Co z nią?

- W porządku - uspokoił ją George Earley. - Wcale nie schodziła do tuneli. Tommy nie powinien być taki w gorącej wodzie kąpany.

- Tommy miał cholerne szczęście - powiedział Adam - że ktoś poszedł go szukać. Dobrze, że byłem blisko Iris. Gdyby nie ona, już byłoby po chłopie. Pomóżcie mi go wytaszczyć.

Iris stawiała stopę na pierwszym szczeblu drabiny, kiedy znów rozległ się ten dźwięk. Ze sztolni buchnął kłęb kurzu. Czy miejsce, w którym Iris Merlin ukryła naszyjnik, przepadło na zawsze?

Adam podał jej rękę i wyciągnął na słońce. Tommy Killian odzyskał przytomność, kaszlał i przecierał oczy.

- Tommy - powiedział Adam. - Ta pani ocaliła ci życie. Tommy poczerwieniał.

- A co ona miała z tym wspólnego?

- Była wystarczająco blisko, żeby wiedzieć, gdzie jesteś, kiedy tunel się zawalił. Odkopując cię, narażała własne życie, idioto.

Tommy wstał i oparł się na jakimś mężczyźnie.

- Nie potrzebuję od niej żadnej pomocy. Chodź, Rick, odprowadź mnie na miejsce wierceń. Muszę sprawdzić, czy Sammy nic się nie stało.

Zebrani nachmurzyli się, coś wymamrotali i odeszli.

- Nie do wiary - powiedziała Iris, patrząc w ślad za nimi.

- Mogliśmy zostać żywcem pogrzebani w tych tunelach, a on...

I nagle zaczęła się śmiać.

- Iris - powiedział Adam.

Śmiała się coraz głośniej. Przykucnęła i zaśmiewając się, kołysała na boki. Adam przykucnął obok i objął ją.

- To wszystko jest takie śmieszne - wykrztusiła. - Ty również wyglądasz zabawnie. Niczym kominiarz z filmów rysunkowych.

- Czy wiesz, co przed chwilą zrobiłaś?

- Ocaliłam życie temu głupiemu Tommy'emu Killianowi - odparła. - Miotał się po ślepych odnogach i prawdopodobnie sam spowodował zawał. Gdyby nie on, moje tunele mogłyby ocaleć. Wciąż byłaby szansa na odnalezienie naszyjnika. Ale on mnie nie cierpi. Nawet mi nie podziękował, chociaż uratowałam go.

- Owszem, ale nie o to mi chodzi. Tommy Killian odtrącił cię publicznie. Na oczach wszystkich zebranych. A ty tymczasem...

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- A ty go wyśmiałaś.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czyżby to było aż takie łatwe?

Przez kolejne dziesięć dni setki razy zastanawiała się nad tym, co powiedział jej Adam. Jednak jej głos wewnętrzny przeczył wszystkiemu. Nie bądź śmieszna. To nie tak. Byłaś w szoku, stąd ten śmiech. To nie miało nic wspólnego z odtrąceniem...

- Stój spokojnie, bo cię niechący ukłuję - mruknęła Lena Maxon przez zaciśnięte wargi, w których trzymała szpilki.

- Och, Iris - powiedziała Samantha. - Tak się cieszę, że zgodziłaś się odegrać rolę Tęczowej Narzeczonej.

- Będę potrzebowała kogoś, kto wcieli się w postać Wynne'a Ro w landa - zauważyła Iris, odsuwając delikatny jedwab sprzed ostrych pazurków Pasikonika. - Muszę też znaleźć kogoś, kto zbuduje stragany na pamiątki i jedzenie, bo cieśla złamał wczoraj rękę. Za to suknia będzie ładna.

- Ładna! - oburzyła się Lena. - Będzie wspaniała. A Rowlanda może zagrać tylko jeden człowiek.

- Kto? - spytała Iris.

Lena wykonała gest zniecierpliwienia i wpięła następną szpilkę.

- Jak na wykształconą osobę jesteś czasami bardzo niedomyślna. Oczywiście Adam.

Samantha zachichotała.

- Nie widziałam Adama od chwili rozpoczęcia robót w Rainbow - westchnęła Iris. - Mieszka w przyczepie i po dniu wierceń wciąż zajmuje się tymi symulacjami komputerowymi. Zapomniał o całym świecie. A ponieważ zabrał Esmeraldę, nie mogę pojechać do Tonopah po nowego cieślę.

- Weź mojego jeepa - odparła Lena. - Wciąż ci powtarzam, że możesz z niego korzystać w każdej chwili. I nie bój się, że Adam zapomni o weekendzie, zwłaszcza kiedy zobaczy cię w tej sukni.

- Wytrzeszczy gały - ucieszyła się Samantha.

- Wytrzeszcz pana Adama Freemonta nie jest przyczyną, dla której pojechałam do Las Vegas po muślin w dziewięciu różnych kolorach. Chodzi o autentyzm.

- Z przodu powinno być niżej - zauważyła Samantha.

- Hm - mruknęła Lena. - Masz rację.

- O, nie. - Iris zakryła rękami dekolt.

- Myślałam, że chodzi ci o autentyzm - rzekła słodkim głosem Lena.

- Oprócz tych broszek powinnaś mieć jeszcze...

- Naszyjnik - dokończyła za Samantha Iris. - Obawiam się, że tym razem musimy zadowolić się suknią i welonem. Nie ma czasu na wykonanie kopii. Byłaby zresztą za droga.

- Szkoda, że go nie znalazłaś - powiedziała Samantha. - Nadal uważam, że to jest nie fair.

Iris przyjrzała się dziewczynce. Samantha była taka urocza, kochana i pełna wiary. Jej ojciec był może gburem i niewdzięcznym mrukiem, nieostrożnie obchodzącym się ze swoim zabytkowym arsenałem, ale kiedy sądził, że jego córeczka weszła do starej kopalni, nie zawahał się zaryzykować życia. Ojczym, pomyślała, nigdy by tego nie zrobił.

Samantha również przestała być dla niej zagrożeniem. Codzienne próby sprawiły, że się zmieniła. Nie, to ja się zmieniłam. Chociaż właściwie, poprawiła się w myślach, to wszystko mnie odmieniło.

- Nie martw się, Sam ant ho - uśmiechnęła się Iris. - Tu nie chodziło o naszyjnik. Chciałam udowodnić, że tamta Iris nie uciekła z Rainbow. Nie szkodzi, znajdę inny dowód.

- Jak? - spytała dziewczynka.

- Na lewym ramieniu damy złotą wstążkę - odezwała się Lena. - Samantha, zabierz tego kota, zanim zdemoluje mi do reszty pudełko z przyborami do szycia.

- Jak chcesz tego dowieść? - dopytywała się Samantha, sięgając jednocześnie po kota.

Wyrwał się jej, nastroszył ogon i wskoczył na stolik pod oknem. Dziewczynka ruszyła za nim w pościg, strącając przy okazji długie nożyczki ze stołu. Spadły ostrzem w dół.

- Au! - krzyknęła Lena, wypływając szpilki. Z rozciętej łydki trysnęła krew. - Na miłość boską, dzieciaku, chcesz mnie zamordować?

- Nie - odparła Samantha i rozplakała się. Pasikonik zeskoczył ze stołu i schował się pod kanapę.

- Pokaż - zainteresowała się Iris.

- Nie podchodź do mnie. - Lena próbowała zatamować krew kawałkiem białego muślinu. - Jeśli zaplamisz suknię krwią, cała moja robota na nic.

- Ja nie chciałam - łkała Samantha. - Sięgnęłam tylko po Pasikonika, a te nożyczki tam leżały.

- Wiem, że nie chciałaś - zgodziła się Lena. - Czasami jesteś zbyt nieostrożna.

Iris nie mogła sama zdjąć sukni, ponieważ szpilki spinały ją w niedostępnych dla niej miejscach. Zamiast tego, podwinęła jak najwyżej taftę i kolorowy muślin.

- Chodź, przemyjemy i opatrzymy ranę. Pomóż nam, Samantho.

- Mogę? - pisnęła dziewczynka.

- Oczywiście - uspokoiła ją Lena. - Już dobrze, kochanie, nie płacz. To tylko draśnięcie.

- Domyślam się, że powinienem oniemieć, widząc cię w stroju Tęczowej Narzeczonej - odezwał się Adam, stając w drzwiach biura.

Iris zerwała się na równe nogi. Adam był nieco chudszy i bardziej opalony.

- To ja zaniemówiłam na twój widok. Roześmiał się.

- Tego jeszcze nie widziałem. Nawet kiedy bałaś się psa, zachowałaś elokwencję. Nie wierzę też, żeby moja obecność mogła odebrać ci mowę.

- Widzę, że wiercenia muszą iść dobrze.

- Owszem. Uzyskane próbki przewyższają najśmielsze oczekiwania. Tylko że...

- Że co?

- Przykro mi, runęła reszta tuneli. Iris poczuła ukłucie w sercu.

- Wszystko?

- Nadal jest wejście i główny tunel. Podtrzymują go stemple, ale reszta runęła.

Zatem naszyjnik przepadł na wieki. Iris podniosła przygotowywany na weekend folder.

- Koniec planu numer jeden - powiedziała. - Trzeba przejść do wariantu numer dwa.

- Zmieniłaś się. Kiedy przyjechałaś tu w czerwcu, myślałaś tylko o planie numer jeden, jak znaleźć naszyjnik.

- Wówczas jeszcze nie miałam planu numer dwa. Teraz już mam.

- Jaki to plan?

- Biblioteka.

- Biblioteka w Felicity? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

Zawahał się z odpowiedzią. Pod opalenizną lekko poczerwieniał.

- Bałem się, że to tylko chwilowy kaprys, że nie zechcesz porzucić Minneapolis na rzecz życia w Felicity. Co do biblioteki, to musiałabyś zaczynać od zera.

- Czy uważasz się za jedyną osobę na świecie potrafiącą zbudować coś z niczego? To byłoby wyzwanie, a ja lubię podejmować wyzwania.

- Wiem, jak mi Bóg miły, wiem. Czy to znaczy, że zostaniesz?

- Będziemy musieli przedyskutować szczegóły - roześmiała się Iris. - Musisz przygotować porządną ofertę. Jeszcze nie podpisałam nowej umowy z uczelnią w Minneapolis.

- Wierzenia potrważą jakiś czas. Umowę z Eagle Valley podpiszę, kiedy tylko przygotuję raporty. To oznacza dużo pieniędzy, nawet jeśli splecę wszystkich udziałowców. Obiecuję, że biblioteka zajmie poczesne miejsce na mojej liście.

- Adam?

- Tak?

- Nie chcesz zatrzymać pieniędzy dla siebie? Być bogaty?

- Jeśli Rainbow opłaci się w takim stopniu, jak się spodziewam, nieważne ile bibliotek, szkół czy przychodni zafunduję. Dlaczego chcesz, żebym był bogaty?

- Nie dbam o to, czy jesteś bogaty - stwierdziła Iris. - Chciałabym tylko...

- Urwała. Popatrzyli na siebie. Przez dłuższą chwilę milczeli.

- Co byś chciała? - spytał wreszcie Adam.

- Nie wiem.

Tysiące słów cisnęło się jej na usta. Zmieszana podniosła rękę, jakby broniąc się przed wyimaginowanym zagrożeniem. Chciałabym, żebyś mnie pragnął, potrzebował, przytulał i nigdy nie odwrócił się ode mnie, pomyślała. Jednocześnie przypomniały się jej słowa Adama, kiedy wyznał, że boi się zaangażować uczuciowo.

- Nie wiem - powtórzyła zrozpaczona. - Chciałabym, żebyś był szczęśliwy... Ale to chyba nie ma nic wspólnego z tym, czy się jest bogatym, czy nie.

Najwidoczniej nie to chciał usłyszeć, bo twarz mu się wydłużyła. Poblądł i ściągnął brwi.

- To rzeczywiście jest bez znaczenia. Ja też chciałabym, żebyś była szczęśliwa i mam nadzieję, że pomoże w tym biblioteka. A teraz mam coś, co przynajmniej odrobinę może pomóc, nawet od zaraz.

Postawił na biurku papierową torbę.

- To od Leny - powiedział. - Zaszedłem do niej, bo pomyślałem, że mogłaś wrócić do domu na lunch. Opowiedziała mi o sukni i nie wypuściła bez talerza swojej słynnej sałatki z kurczaka z winogronami i migdałami, o domowych drożdżówkach nie wspominając.

- Lunch - ucieszyła się, mogąc zmienić temat. - Dziękuję, Adamie. Może zostaniesz i zjesz ze mną? Chciałabym cię o coś spytać.

- O co? - Twarz mu nieco złagodniała.

- Chodzi o imprezę. Skoro zostałam Tęczową Narzeczoną, ktoś musi być Wynne'em Rowlandem.

- I wybrałaś mnie?

Iris stanął nagle przed oczami obraz, jak podpierając się laską, staje w drzwiach baru Handshake i żąda widzenia się z Adamem Freemontem.

- Cóż, to był w zasadzie pomysł Leny, ale... Wiem, że jesteś zajęty, ale obiecuję, że zajmę się kostiumami i wszystkim, więc musiałbyś wziąć udział najwyżej w dwóch próbach.

- Wynne Rowland - powiedział. - Mąż Tęczowej Narzeczonej. Myślę, że... - Umilkł i po chwili dokończył. - Tak - skinął głową. - Oczywiście, że się zgadzam. Ten weekend jest dla mnie tak samo ważny jak dla innych. O próbach możesz opowiedzieć mi, kiedy będziemy jedli.

Otworzył torbę i zaczął wyjmować serwetki i sztuce. Lena pomyślała o wszystkim. Iris obserwowała jego szczupłe, opalone ręce, deszczowe oczy, gęste włosy. Czowała, jak boli ją serce.

Chodzi mi o Adama Freemonta. Pragnę go. To wszystko. Patrzę na jego ręce, oczy, włosy i po prostu go pragnę. To zaczęło się od pierwszej chwili, od spotkania na pustyni, delikatnego dotyku jego rąk. Ta dziwna słabość, konieczność dotykania go. To wszystko to sfera fizyczna. Pożądanie i nic więcej.

Powiedział, że czuję się bezpieczna tylko wtedy, kiedy pierwsza kogoś odtrącam. Nie. Nie robię tego. Nie. Naprawdę?

Lena Maxon miała rację, pomyślał Adam. Zaniemówiłem.

Zgromadzeni w Handshake uczestnicy próby jeszcze go nie dostrzegli, więc przez dłuższą chwilę mógł się jej przyglądać. Obserwował drobną, szczupłą figurkę, włosy przykryte tęczowym welonem. Z tyłu skrzypiały, kołyszając się na zawiasach, staroświeckie drzwi. Poranne słońce wydłużało jego cień aż do połowy sali. Potrzebuję tylko czarnego stetsona, szamerowanej kamizelki i cygara w zębach, by móc odgrywać Wynne'a

Rowlanda, od Tonopah do Comstock osławionego spekulanta złotem i srebrem, który przybył po swoją Tęczową Narzeczoną.

- Adam.

To był George Earley. Minęła magiczna chwila. Adam dał znak Kimantsi, żeby została na chodniku przed barem i wszedł do środka, zatrzymywany co krok przez roześmianych, rozgadanych ludzi. Wydawało mu się, że zanim do niej podszedł, minęły całe godziny. Kiedy już się precisnął, podkasła szeleszczącą suknię, by wyjść.

- Poczekaj, Iris. Niech ci się przyjrzę. Odwróciła się. Welon okręcił się wokół niej.

- Adam! Bałam się już, że tu nie dotrzesz.

- Nie przegapiłbym tego za nic na świecie. Twój debiut w kreacji Leny...

- Najwyraźniej nie działa.

- Nie działa?

- Miałeś oniemieć.

- Bo tak było. Kiedy ujrzałem cię przez drzwi, przysięgam, że nie mogłem wydobyć z siebie słowa, choćby mieli mnie pokrajać.

Uśmiechnęła się.

- Jest przepiękna, prawda? Wydaje się, że ona była trochę wyższa, no i oczywiście nie mam tej biżuterii, ale chyba wiem, co czuła, kiedy miała na sobie swoją suknię.

Rozłożyła ręce i okręciła się powoli na palcach. Delikatny welon uniósł się i zawirował wokół niej, mieniając się tęczą barw.

Szkarłat jako symbol namiętności, heliantyn - szczęścia, żółty - światła...

Lena doskonale odwzorowała portret. Wręcz idealnie. Suknia została uszyta w stylu wiktoriańskim, z przesadnie cienką talią i głębokim dekoltem. Adam zastanawiał się, czy Iris bardzo protestowała przeciwko temu.

Nawet jeśli tak, wszystkie zastrzeżenia ustąpiły wobec konieczności zachowania autentyzmu. Ponieważ na dodatek większość czasu w Nevadzie spędziła pod ziemią, zachowała nie tkniętą przez słońce skórę. Szyja i odsłonięte ramiona miały kolor kości słoniowej, co pięknie kontrastowało z barwami tęczy.

Różowy oznacza miłość, zielony to życie, turkusowy zapewni powodzenie

Suknię tworzyły kliny, każdy w innym kolorze, układające się zgodnie z barwami tęczy. Od pasa w dół rozchodziły się, przechodząc z tyłu w tren. Przy najmniejszym ruchu suknia szeleściła prowokująco.

Niebieski da nadzieję, indygo - wieczność, a fiolet pomoże przewyciężyć trudności.

Całość była zbyt bogata, by ogarnąć ją jednym zmysłem. Adam zapragnął dotknąć szkarłatu, spróbować błękitu i wdychać delikatną woń turkusu. Najbardziej jednak nęciła go biel jej skóry.

- Ja chyba również wiem, co on czuł.

- Kto?

- Wynne Rowland. Iris cofnęła się o krok.

- Pora iść. Pochód już się formuje. Powinieneś mieć swój kostium, ale w tej chwili to nie jest najistotniejsze.

- Iris - powiedział - poczekaj, ja... Ale jej już nie było.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Samantha! - krzyknęła Iris. - Złaż stamtąd natychmiast. Te stragany nie służą do wspinaczki.

Samantha zeszła z daszku i przebiegła na drugą stronę ulicy.

- Uciekam przed bandytami - oświadczyła. - Przed Chrisem Crandallem i Billym Earleyem. Usiłują ukraść mi złoto.

- To proszę uciekać po ulicy - pouczyła ją Iris. - W piątek rozpoczyna się impreza i nie będzie czasu na naprawianie dziurawych dachów budek.

- Są za mocne, żeby mogły się zawalić - odparła z szelmowskim uśmiechem Samantha. - Już wchodziłam na wszystkie.

- Ty i Pasikonik?

Głos Adama zabrzmiał jak wystrzał. Iris obejrzała się. W jednej ręce trzymała młotek, w drugiej gwoździe, a na ramionach miała zarzuconą czerwono-biało-niebieską draperie, którą ozdabiała stragany. Adamowi towarzyszyła oczywiście Kimantsi. Przytulał do siebie Pasikonika. Kotek wyglądał na zmęczonego. Nie, raczej na przerażonego.

- Co tu robisz?

- Ratowałem kotka, który wdrapał się na jeden z twoich straganów i nie potrafił sam zejść na dół. Czy mam ci pomóc?

- Nie, to znaczy dzięki, ale już kończę. Co się stało, Adamie? Wyglądasz jakoś nieswojo.

Postawił Pasikonika na ziemi. Kot pognął przed siebie z nastroszonym ogonem. Adam przyglądał mu się przez chwilę.

- Dostałem dziś rano faks - powiedział wreszcie. - Od Caroline Wellcome. Wczoraj odbyło się zebranie zarządu Eagle Valley.

Iris zrozumiała wreszcie, co znaczy powiedzenie, że komuś zamiera serce. Przez chwilę wydawało się, że jej stanęło na zawsze.

- I co?

- Niektórzy z nich - powiedział - są w dalszym ciągu przeciwni projektowi Rainbow. Nie wierzą, że Felicity zdoła przyciągnąć ludzi do jego realizacji.

- Ale właśnie dlatego urządzamy ten weekend - odparła. - Żeby zainteresować ludzi naszym programem. Myślałam, że to ich zadowoli.

- Oczywiście - przyznał Adam. - Przynajmniej Caroline. Jednak z tonu jej faksu wynika, że podczas zebrania spotkała ją niemiła niespodzianka. Przeciwników jest tylu, że mogą ją przegłosować.

- Przegłosować? - przestraszyła się Iris. - Ależ, Adamie, to znaczy...

- Iris! Adam! Patrzcie!

Iris odruchowo obejrzała się i zobaczyła, że Samantha stoi na skraju dachu ostatniego straganu. Dziewczynka usiłowała dosięgnąć balkonu nad barem Handshake, ale brakowało jej dziesięciu centymetrów.

- Mogę stąd przeskoczyć na balkon! - zawołała. - Tak jak na filmach. Bandyci nigdy mnie nie złapią.

- Samantha! - krzyknęła Iris. - Nawet nie próbuj przeskoczyć na balkon. Spadniesz.

- Bandyci? - zdziwił się Adam.

- Gra, w którą bawi się z Billym Earleyem - wyjaśniła

Iris. - Wciągnęli w to nawet Chrisa Crandalla, który jako starszy od nich usiłuje choć trochę zapanować nad wszystkim. Oni mają zamiar...

Samantha skoczyła. Złapała krawędź balkonu i zawisła przez chwilę, usiłując podciągnąć nogi. Plac zabaw z drabinkami, przemknęło przez głowę Iris. Nie zmieniane od stu lat drewno pękło nagle z trzaskiem. Samantha zwała się w tył bez krzyku, bez przerażenia, za to z wyrazem zdumienia i złości na twarzy. Uderzenie głowy o kant straganu zabrzmiało przerażająco złowieszczo.

Adam rzucił się na ratunek, kiedy tylko poręcz trzasnęła. Iris była o pół kroku za nim. Serce waliło jej jak młotem. Samantha leżała z rozrzuconymi rękami i nogami.

Wszędzie było pełno krwi.

Adam przyłożył dwa palce jej do tętnicy szyjnej.

- Puls bije - powiedział. - Słabo, nieregularnie, ale bije.

- Wezwij szybko lekarza - odruchowo wyrwało się Iris. - Natychmiast.

Popatrzył na nią. Oczy miał tak jasne, że prawie bezbarwne.

- Nie ma żadnego lekarza. Pamiętasz? Jest dopiero w Tonopah.

- To zadzwoń, wezwij karetkę. Pospiesz się.

Adam pobiegł do Handshake. Iris uklękła przy dziewczynce. Sprawdziła jej puls. Był słaby. Delikatnie uniosła jej powieki. Prawa źrenica była nieco większa od lewej.

- O, nie - szepnęła Iris. - Adamie, pospiesz się!

- Panno Iris, czy nic jej nie będzie?

Billy Earley był biały jak prześcieradło. Za nim stał Chris Crandall.

- Nie chcieliśmy zrobić nic złego - powiedział. - Nie przypuszczaliśmy, że spadnie.

- Wiem - przyznała Iris. - To nie wasza wina.

Przesunęła dłońmi po rękach i nogach Samantha, przywołując w pamięci właściwe strony z wszystkich medycznych książek, jakie miała u siebie w bibliotece. Otarcia i zadrapania, żadnych widocznych złamań, otwartych ran i krwotoków, z wyjątkiem tego przerażającego z głowy. Jednak skóra głowy nie jest zbyt mocno ukrwiona. Żebra i mostek chyba całe. Oddech płytki i nieregularny. Szyja i ramiona również wyglądały na nie uszkodzone.

Pozostaje zatem głowa. Wstrząs mózgu, może nawet coś gorszego. Przed oczami przemknęły jej ilustrowane strony z podręczników pierwszej pomocy. Głowa z różowoszarym mózgiem wewnątrz. Przesadny rysunek pękniętej czaszki i kałuża krwi obok. Podpis: „Bezpośrednie obrażenia głowy może powodować wiele rodzajów ran, włącznie z krwawieniem wewnętrznym, wstrząsem mózgu i pęknięciem czaszki. Może się z tym łączyć krwotok zewnętrzny...”

- Wszystkie karetki wyjechały - poinformował ją nie-swoim głosem Adam. - Przyjadą za godzinę, może wcześniej, jeżeli im się uda. W szpitalu powiedzieli...

- Nie mamy czasu - gorączkowała się Iris. - Na pewno ma wstrząs mózgu. Pękniętą czaszkę. Może mieć wewnętrzny krwotok.

- Dzwoniłem do Sandy Killian - powiedział Adam. - Nie podnosi słuchawki.

- Nie ma jej w domu. Pojechała do sklepu do Tonopah i zostawiła Samanthę ze mną. Gdzie jest Tommy?

- W Rainbow. Łączyłem się z przyczepą, ale również nikt nie odpowiadał. Zostawiłem wiadomość na sekretarce.

Iris przysiadła na obcasach.

- W takim razie oboje musimy podjąć decyzję. Nie wygląda na to, żeby miała połamane kości. Wydaje się, że kark i szyja nie są uszkodzone. Jednak nie wiem, co z jej głową. Może mieć wstrząs mózgu lub coś jeszcze gorszego. Ma nierówne źrenice.

- Skąd wiesz to wszystko? No, mniejsza z tym.

- Znam jedynie podstawy pierwszej pomocy - wyznała, - Mogę się mylić i to z tragicznym skutkiem. Przenosząc ją, możemy jej jeszcze bardziej zaszkodzić. Ale jeśli będziemy czekać, grozi jej śmierć lub nieodwracalne zmiany w mózgu.

- Uważam, że powinniśmy ją zawieźć do szpitala. Iris wciągnęła powietrze.

- Tak. Natychmiast.

- Dobrze. - Wstał. - Przyprawdę Esmeraldę. Kima, zostań. Pilnuj Pasikonika. Chris, będziesz musiał coś dla mnie zrobić.

Billy Earley zniknął, ale Chris Crandatł wciąż stał obok, przełykając łzy. Jako duży chłopiec, orientował się, co się stało.

- Tak, psze pana.

- Czy rodzice są w domu?

- Nie, psze pana. Oboje pracują. Tata jest w kopalni.

- Wskakuj na rower. Pędź z całej siły do Rainbow i powiedz tacie Samantha, co się stało. Powiedz mu, że nie mogliśmy doczekać się ambulansu i sami zwieźliśmy ją do Tonopah. Niech jak najprędzej przyjedzie do szpitala.

- Tak jest - odparł Chris. - Pojadę tak szybko, jak nigdy w życiu. Przysięgam.

Pomagając sobie czerwono-biało-niebieskim materiałem, zanieśli nieprzytomną Samanthę do kabiny. Krwawienie prawie ustało, ale oddech stał się niepokojąco chrapliwy, a twarz jej poszarzała. Iris uklękła na podłodze, starając się unieruchomić górną część ciała i głowę dziewczynki.

- Trzymam ją - powiedziała. - Ostrożnie, Adamie. Spiesz się, ale uważaj na dziury.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał. - Trzymaj się.

Wąska droga, dzieląca Felicity od szosy numer 95, wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy wjechali na gładką, asfaltową nawierzchnię, Adam gwałtownie przyspieszył. Z całej jazdy Iris zapamiętała jedynie białą twarz Samantha, jej zakrwawione włosy i wysięk włożony w amortyzowanie wstrząsów.

- Ile jeszcze?

- Pięć minut. Co z nią?

- Niedobrze. Wygląda coraz gorzej. Pospiesz się, Adamie. Esmeralda ryknęła i zadrżała.

- Jadę przez czerwone światła. Klaksony.

- Już blisko.

- Adamie, ona chyba nie oddycha.

- Szpital jest przy następnej przecznicy.

Iris czuła, jak walczy o panowanie nad samochodem. Gwałtownie skręcił, pisk opon, samochód wpadł w boczny poślizg. Trzasnęły drzwi od strony Adama, później otworzyły się drzwi z jej strony. Obce ręce wyciągnęły Samanthę z furgonetki. Głosy mówiące coś bez sensu. Potem została sama.

Oparła głowę o siedzenie, na którym przed chwilą leżała Samantha. Brakowało jej łez. W gardle miała sucho.

- Iris - usłyszała głos Adama.

Dawno, dawno temu siedziała za kierownicą Esmeraldy i kryła twarz w dłoniach. Wtedy również do rzeczywistości przywołał ją głos Adama.

- Ona oddycha. - Wyglądał upiornie, minę miał ponurą. - Powiedzieli, że miałaś rację. Gdybyśmy czekali na karetkę, nie miałyby żadnych szans na przeżycie.

- Usiłowałam ją ostrzec - rzekła głucho.

Pochylił się i wyciągnął Iris z kabiny. Przez całą drogę siedziała na podwiniętych nogach i teraz wydawało się jej, że przeszywają je tysiące szpilek. Kiedy stanęła na zdrętwiałych stopach, omal nie upadła. Adam wydał nieartykułowany dźwięk i pomógł jej usiąść na przednim zderzaku Esmeraldy.

- Nie płacz.

- Ja nie płaczę. Chyba już nigdy nie zapłaczę. Och, Adamie, gdybyśmy mieli lekarza w Felicity.

- Lekarz niewiele by jej pomógł. Tu mają całe wyposażenie, specjalistów, chirurgów, połączenie lotnicze z Vegas.

- Ale lekarz wiedziałby, co należy zrobić. No i karetka byłaby na miejscu.

- Będzie - obiecał. - Wkrótce.

- Za późno dla Samanthy.

- Nie, nie mów tak. Wcale nie jest za późno.

- Adamie, obiecaj mi to, przysięgnij.

- Co takiego? - zaniepokoił się.

- Obiecaj, że zatrudnisz lekarza, otworzysz przychodnię, kupisz karetkę.

- Nie mogę ci niczego obiecać. A gdyby nawet, co z biblioteką?

- Mniejsza o bibliotekę. Małe dziewczynki nie będą umierały przez to, że miasto ma bibliotekę, zamiast przychodni. Obiecaj mi.

- Samantha nie umarła - powiedział. - Nawet nie wiemy, czy jest ciężko ranna. Posłuchaj, Iris. Jeżeli Eagle Valley nie zdecyduje się wykupić udziałów, nie będę w stanie wybudować ani przychodni, ani biblioteki. Niczego.

- Nie - powiedziała, zrywając się na równe nogi. Łzy pojawiły się nie wiadomo skąd i już nie mogła się powstrzymać. - O, nie, nie! Bodajbym nigdy nie przyjechała do Rainbow. Nic by się nie stało, gdybym...

- Iris - rzekł ostro - przestań. Jesteś...

- Gdybym nie spowodowała opóźnienia prac, nie byłoby żadnych problemów z Eagle Valley, a Felicity miałoby doktora t karetkę...

- Wcale nie opóźniłaś prac. Kłopoty z Eagle Valley nie mają nic wspólnego z...

- ... i nie musiałbyś organizować tego weekendu z litości dla mnie, nie byłoby straganów i Samantha...

- Iris. - Złapał ją i porządnie potrząsnął. - Przestań. Ten weekend to nie żadna łaska. Eagle Valley nie ma nic wspólnego z tobą. To, co mówisz, to jedynie reakcja na stres.

- Zostaw mnie. Nie chcę cię, nie potrzebuję - rzekła. Słyszała, że coś do niej mówił, ale to nie miało żadnego sensu, bo i tak widziała go jakby na końcu świetlistego korytarza. Podniosła ręce, by go odepchnąć i nagle zdała sobie sprawę, że dłonie ma całe we krwi Samantha. Chciała wytrzeć je o bluzkę, ale ta była lepka od krwi. Żołądek podszedł jej do gardła. Jasny tunel wydłużył się.

- Przynieś mi - powiedziała. Nie pamiętała, co właściwie miał jej przynieść, tylko że było to bardzo ważne.

- Przynieś.

- Dobrze. Przynieś.

Jego twarz zaczęła się rozmazywać, głos gdzieś zanikać. Iris poczuła, że kolana się pod nią uginają. Tunel skurczył się do wymiarów główki szpilki.

Potem nawet ona zniknęła.

- Samantha wyzdrowieje - powiedziała Sandy Killian.

- Dzięki tobie, Adamie. Miała pęknięcie czaszki na linii włosów, krwotok wewnętrzny i lepiej nie mówić, co stałoby się, gdybyście czekali na karetkę. Wzięli ją od razu na blok operacyjny, zatamowali krwotok i obniżyli ciśnienie wewnątrz czaszki. Nic jej nie będzie.

- Obudzi się z piekielnym bólem głowy - rzekł ponuro Tommy. - Głupi dzieciak. Słyszałem, że z naszej kopalni nic nie będzie.

- Zamknij się, Tommy - warknęła Sandy. - Niektóre rzeczy są ważniejsze od pieniędzy. Jeszcze raz dziękuję, Adamie.

- Nie mnie dziękuj - odparł Adam - tylko Iris. To ona nalegała, żeby natychmiast przewieźć Sannę do szpitala.

- Niech Bóg jej błogosławi. Gdzie ona jest?
- Śpi, lekarz dał jej zastrzyk. Była bardzo... załamana.

Iris w zakrwawionej bluzce. Rozczochrana Iris o nieprzytomnych oczach. Iris niepokojąco blada, domagająca się złożenia obietnicy, która zniweczy jej jedyną szansę na pozostanie w Nevadzie. Iris osuwająca się bezwładnie w jego ramiona. To właśnie była chwila, pomyślał Adam, kiedy uświadomiłem sobie, jak bardzo ją kocham.

Po przespanym dniu w szpitalu, pójście do łóżka o normalnej porze było raczej niemożliwe. Adam powiedział, że uda się na spotkanie ostatniej szansy i nic nie wskazywało na to, że weźmie udział w niepotrzebnym już weekendzie.

Iris siedziała w kącie baru Handshake i wpatrywała się w portret Tęczowej Narzeczonej. W teczce z dokumentacją jej prywatnych badań, która leżała na stole, wciąż tkwiła jedynie kserokopia z biblioteki stanowej. Pasikonik przycupnął na stole i zabawiał się tasiemkami teczki, jakby to była sztuczna myszka.

- Musisz to zrozumieć, babciu Iris - powiedziała głośno. W pustym pomieszczeniu jej głos zabrzmiał obco. - W Rainbow może wcale nie być kopalni. A jeśli nawet powstanie, najważniejszy jest lekarz. Byłoby wspaniale zostać w Felicity i prowadzić własne badania naukowe w swojej bibliotece, ale w tej sytuacji nie mogę tego wymagać. Po prostu nie mogę.

Portret, rzecz jasna, nic nie odpowiedział.

- Wcale nie uciekam - ciągnęła Iris. - Nie składam broni. Obiecuję, że się nie poddam. Zrobię, co mogę, będąc w Minneapolis. A może następnego lata...

Zawiesiła głos. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym tu wracać następnego lata. Lena przyjąłaby mnie z otwartymi ramionami. Tylko że Adam Freemont nie przywita mnie serdecznie...

Adam.

Nie potrzebuję cię.

Nie to miałam na myśli. Nie w ten sposób chciałam to wyrazić. Wciąż jestem w ponurym nastroju i czuję się urażona, bo ludzie z Eagle Valley zlekceważyli moją pracę włożoną w przygotowanie weekendu. Chciałam przez to powiedzieć, że poradzę sobie z pokierowaniem imprezą, nawet jeśli Adam będzie musiał pojechać do Carson.

To właśnie miałam na myśli.

Naprawdę?

O Boże, już sama nie wiem, co. Na pewno jednak nie chciałam... Cokolwiek to miało znaczyć, zabrzmiało jakbym... A jeśli?

- A jeśli go nie kocham? - rzekła na głos. Przycisnęła dłonie do ust, zdumiona słowami, które przed chwilą wypowiedziała. Tęczowa Narzeczona spoglądała na nią z portretu, uśmiechając się tajemniczo.

- Och, babciu Iris, co mam robić? - szepnęła. - Kocham go, ale niszczę wszystko i jeśli zrobię to ponownie, Adam odwróci się ode mnie na zawsze. O Boże, jak mogłam być taka głupia? Przecież zawsze starałam się, żeby...

„Zawsze chcesz być tą stroną, która zrywa. W ten sposób zapewniasz sobie poczucie bezpieczeństwa”.

Pasikonik znów zaczął atakować teczkę. Iris odruchowo zabrała mu ją. Wyjęła kartkę i zaczęła czytać od nowa.

„Szkarłat jako symbol namiętności, heliantyn szczęścia...”

Popatrzyła na portret. Widniały na nim szkarłat, pomarańcz, słoneczny żółty.

„Na lewym ramieniu miała broszkę z czystego srebra z kopalni w Comstock. Brosza na prawym została wykonana ze złota wydobytego w Rainbow”.

Brosze również znajdowały się na portrecie, namalowane z zadziwiającą dokładnością. Na lewym ramieniu złoty kruszec wydobyty w Rainbow. Na prawym...

Iris zastanowiła się. Coś tu nie pasowało. Znów zerknęła do kserokopii.

„Na lewym ramieniu miała broszkę z czystego srebra z kopalni w Comstock”.

Spojrzała ponownie. Broszka na lewym ramieniu była bez wątpienia złota.

Roześmiała się głośno.

- Ty cierpiałas na to również! - krzyknęła. - Tak samo jak ja nie potrafiłaś odróżnić lewej strony od prawej. Pokręciłaś je nawet, opisując suknię ślubną. Ty...

Zamilkła na chwilę.

- Nie potrafiłaś odróżnić lewej strony od prawej - powtórzyła, powoli cedząc słowa. - Nigdy nie przemierzyłaś tych tuneli. Kiedy znalazłaś się na dole, nie skręciłaś ani razu, bo potem nie wiedziałabyś, w którą stronę masz wrócić. Mogłaś pójść jedynie prosto przed siebie.

Nagle usłyszała głos Adama tak wyraźnie, jakby stał tuż za nią: „Nadal istnieje wejście i główny tunel. Podtrzymują go stemple, ale reszta runęła”.

Główny tunel.

- A ja uparłam się, żeby przeszukać wszystkie rozgałęzienia - powiedziała. - Tymczasem od samego początku wystarczyłoby pójść głównym tunelem. Kawałek welonu przy piątym rozwidleniu wcale nie oznaczał, że tam skręciłaś. Znaczy to tylko tyle, że szłaś głównym szlakiem aż do końca.

„Obiecuj mi, że nie będziesz więcej penetrowała bocznych tuneli, ani nawet głównego”.

Złapała Pasikonika w ostatniej chwili, bo już szykował się do przeskoczenia na następny stół.

- Pięć minut - powiedziała, wtulając twarz w jego futerko. - Tylko do końca głównego tunelu i z powrotem. Jeśli stemple trzymają sufit, nie będzie to takie niebezpieczne.

Pasikonik wyrwał się i uderzył ją łapką.

- Chodź - powiedziała. - Zaniosę cię do domu. Lena i Harry pewnie już śpią, ale sama mówiła mi, że mogę wziąć jeepa, kiedy będę potrzebowała. A akurat teraz, Pasikoniku, samochód jest mi bardzo potrzebny.

Rainbow w środku nocy było ciche i sprawiało nieco upiorne wrażenie.

Iris spodziewała się strażników, ale nie było żywego ducha. Po wschodniej stronie w świetle księżyca srebrzyła się niesamowicie przyczepa Adama. Urządzenia wiertnicze rzucały fantastyczne cienie.

Natknęła się jednak na niespodziewane trudności. Wejście do sztolni zamykała ciężka stalowa pokrywa przypięta kłódkami do wbitych w ziemię metalowych pali. Iris, klnąc, szamocząc się i łamiąc ostatnie całe paznokcie, zdołała wreszcie wyciągnąć dwa paliki i podważyć pokrywę.

- Teraz - powiedziała głośno - albo nigdy.

Drabina zniknęła, więc musiała zejść po drewnianym ocembrowaniu sztolni. Tak jak mówił Adam, główny tunel ocalał, ale stemple zaczęły się uginać i trochę ziemi spadło na podłogę. Iris skierowała promień lampy wprost przed siebie.

- Prosto - powiedziała - bez żadnych skrętów. Poszła do końca. W pierwszej chwili wydawało się jej, że

znów się pomyliła. Na końcu tunelu nie było niczego. Stary kurz mieszał się z opadłą podczas wierceń ziemią. Z bijącym sercem oświetliła ściany. Nic.

- Popatrz jeszcze raz - podtrzymywała się na duchu. - Uważnie.

I wtedy zobaczyła odcisk dłoni Tęczowej Narzeczonej odbity w ziemi, kiedy utwardzała ją po zakopaniu swego skarbu. To była jej prawa ręka. Powolutku podniosła prawą dłoń i przymierzyła ją do śladu praprababki. Pasowała idealnie.

Płacz był wyjątkowo niepraktyczny w sytuacji, kiedy trzeba było wykonywać tak precyzyjne operacje, jak skierowanie światła w to miejsce i wyregulowanie ostrości aparatu. Płacz wszystko bardzo utrudniał, ale nie mogła nie zapłakać nad losem Tęczowej Narzeczonej, która uklepała ręką ziemię, odwróciła się i po raz ostatni poszła tunelem ku samotności, rozpaczy i śmierci.

- Teraz wreszcie się przekonają - szepnęła, szlochając. - Nigdzie nie uciekłaś. Nawet Donald Fontenot nie śmie zaprzeczyć prawdzie.

Otarła rozmazujące obraz łzy, odłożyła aparat i ukłękła. Zaczęła kopać rękami. Pudełeczko nie leżało głęboko. Chwyciła je oburącz i wyciągnęła.

Była to kasetka od jubilera, obciążnięta zniszczonym aksamitem. Strzępki materiału zaczęły fruwać po tunelu. Sfotografowała je.

- Musisz je otworzyć - powiedziała głośno. - Nie możesz tkwić tu przez całą noc i robić zdjęcia. Musisz je otworzyć.

Drżącymi dłońmi uchylila filigranowe wieczko. W środku spoczywał naszyjnik. Był piękny.

Iris położyła otwartą kasetkę w smudze światła i wytarła ręce o szorty. Potem otworzyła przypiętą do pasa torbę i wyjęła jeden z trzech kamieni. Pierwszy, który się jej nawinał. Był to krwistoczerwony rubin.

Szkarłat jako symbol namiętności... Och, Adamie. Gdybyś tu był. Gdybyś mógł to zobaczyć...

W najkrótszym rzędzie rubinów brakowało jednego. Przyłożyła swój. Pasował idealnie kolorem i rozmiarem.

Znalazłam, pomyślała. Znalazłam jedyną rzecz, po którą przyjechałam do Nevady. Coś, czego pragnęłam ponad wszystko, dopóki nie spotkałam Adama. Dopóki nie pokochałam Adama.

A teraz jest za późno.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W kuchni Leny zadzwonił telefon, a Iris w sypialni aż podskoczyła.

- Sandy odbierze - powiedziała Lena. - Stój spokojnie. Od środowej konferencji prasowej telefon się urywa. Nawet ta dziennikarka z programu „Dzień dobry, Ameryko” zrobiła z tobą wywiad. Powinnaś zacząć się przyzwyczajać.

- Dzwonią do mnie ze wszystkich stron, z wyjątkiem tego miejsca, na którym mi zależy. Czekam na telefon od jubilera z Vegas.

- Wiera - odparła Lena. - I dlatego za każdym razem podskakujesz jak głupi kotek. Wstrzymaj oddech i stój spokojnie, bo inaczej nigdy nie zasznuruję tego gorsetu. Nie rozumiem, dlaczego chcesz sprzedać naszyjnik, który z takim trudem odnalazłaś.

- Na razie chcę go tylko wycenić. W większości składa się z kamieni półszlachetnych, ale szmaragdy, rubiny i szafiry mogą mieć dużą wartość.

- Przecież mówiłaś, że zależy ci na nim, nie na jego wartości materialnej.

- Nie chcę pieniędzy dla siebie. Zanim we wtorek zaczęłam rozmawiać z reporterami, wysłałam list ze zdjęciami Fontenotowi do Arizony. Oddzwonił wczoraj. Nawet był miły. Powiedział, że przyjedzie na nasz weekend, żeby - jak się wyraził - „zweryfikować badania”. Pewnie powstanie z tego jeszcze większy bestseller.

- To dlaczego wysłałaś naszyjnik do Vegas? Powinnaś go włożyć na paradę.

- Odeślą go z powrotem - wyjaśniła Iris. - Wolałam nikomu nie mówić, że dałam go do wyceny. Przynajmniej na razie. Jeżeli te kamienie okażą się imitacją, mój pomysł nie wypali.

Mój pomysł ufundowania przychodni w Felicity, pomyślała. Nigdy się nie poddaję. Mogłam przez chwilę pomyśleć tam, w kopalni, że jest za późno, ale byłam zmęczona, nieszczęśliwa i oszołomiona znalezieniem naszyjnika. Jeśli jest on wart tyle, ile się spodziewam, będę mogła go sprzedać lub dać w zastaw. Sama otworzę przychodnię. Do diabła z Eagle Valley i ich nagłymi wątpliwościami co do naszej imprezy.

Zostanę w Felicity i będę pracowała w przychodni, jeśli zajdzie taka potrzeba. W ciągu tego lata przekonam się o moich zdolnościach organizatorskich. Do prowadzenia badań nie jest mi potrzebna biblioteka. Mogę to robić w wolnym czasie. A dopóki ja tu będę i będzie tu Adam...

- Mówiłam ci, że to będzie jak w książce - ciągnęła Lena, upinając kolorowy welon. - Dwa dni przed rozpoczęciem imprezy, kiedy wszyscy spuścili nosy na kwintę, ty jak gdyby nic przychodzisz do domu w środku nocy z naszyjnikiem Tęczowej Narzeczonej w torbie przy pasie. Dzięki temu mamy zajęte wszystkie pokoje, a ludzie gotowi są zapłacić, byle mogli przespać się choćby na ganku. A co powiedział Adam, kiedy zorientował się, że znowu poszłaś do starej kopalni?

- Nic. - Iris schyliła się i wyciągnęła pazurki Pasikonika z welonu.

- Nic? Naprawdę? Myślałam, że był wściekły.

- O niczym nie wie. Po tym, jak odwiózł mnie we wtorek, od razu pojechał do Carson na spotkanie z ludźmi z Eagle

Valley. Powiedział, że nie wróci, dopóki nie przekona ich do zmiany decyzji, a ja mu powiedziałam...

Że go nie potrzebuję, przypomniała sobie.

Przełknęła ślinę.

- Powiedziałam, że poradzę sobie z poprowadzeniem imprezy bez niego. A skoro go nie ma...

- Parada nie będzie żadnym problemem - zauważyła Lena. - Wszyscy chcą przede wszystkim zobaczyć ciebie. Będą jednak zawiedzeni, że nie nosisz naszyjnika. Jeszcze bardziej zawiodą się, kiedy nie odbędą się zaślubiny Tęczowej Narzeczonej.

- Wiem.

- Przewidziałam to. Ty i Adam macie się pobrać. Iris zaczerwieniła się.

- Nie ja i Adam, a Iris Merlin i Wynne Rowland. To będzie tylko na pokaz. Odnowienie ślubów.

- Tu jest Nevada. Nie trzeba czekać. Zawsze będziecie mogli...

- To tylko na pokaz - powtórzyła twardo Iris. - A ponieważ i tak się nie odbędzie, nie ma się o co droczyć. Chciałabym jednak wiedzieć, co się stało w Carson.

- Ja też - westchnęła Lena. - Możemy tylko trzymać kciuki. Wiesz, gdyby ci ludzie z mediów nie zrobili tyle szumu wokół naszyjnika, cały weekend byłby do niczego. Chodzi mi o promocję i zachęcenie ludzi do osiedlenia się w Felicity. Czym się przejmować, kiedy cały projekt Rainbow może upaść?

- Nie mów tak. Nawet tak nie myśl.

- To nie ja tak mówię. Pokładam duże zaufanie w Adamie Freemoncie, ale reszta mieszkańców jest śmiertelnie przerażona. Większość

zainwestowała w Rainbow oszczędności całego życia. Boją się, że Eagle Valley wycofa się w ostatniej chwili.

- Jeszcze się nie wycofali.

- No cóż, przekonamy się, kiedy wróci Adam - powiedziała Lena, wpinając ostatnią szpilkę. - Gotowe. Lepiej już idź. Jest po dziesiątej. Och, ten twój kot znów potargał welon. Poczekaj.

- Daj mi go - uśmiechnęła się Iris. - Wezmę go ze sobą. Pamiętaj, że jesteś jedyną osobą, którą upoważniłam do odbioru przesyłki od jubilera. Jeśli nadejdzie albo jeśli jubiler zadzwoni...

- Wiem, wiem. Sandy chce obejrzeć paradę i porobić zdjęcia dla Samantha, ale ja zostanę w domu. Obiecuję, że jeśli jubiler zadzwoni, przybiegnę natychmiast, choćbym miała zatrzymać całą paradę na środku głównej ulicy.

Wszystko poszło jak z płatka.

To, co zwykle nie udawało się podczas prób, wypadło wspaniale w czasie parady. Muł Henry'ego Maxona sprawował się bez zarzutu, a Billy Earley ani razu nie spadł z kucyka. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a lekki wietrzyk tworzył wokół Iris chmurę z welonu we wszystkich odcieniach tęczy.

Ze wszystkich stron wyglądały obiektywy. Aparaty fotograficzne błyskały fleszami, niemal niewidocznymi w słońcu. Kamery wideo, od amatorskiej ósemki Sandy Killian, aż po wielkie reporterskie ekip telewizyjnych, rejestrowały każdy szczegół. Iris jechała na platformie imitującej wnętrze baru Handshake. Z Pasikonikiem na rękę wydawała się wprost sunąć w powietrzu.

- Gdzie jest naszyjnik?! - krzyknął ktoś z gapiów.

- Gdzie Wynne Rowland?

- Iris! Popatrz tu.

- Mamo, czy to wilk? Tam, w zielonej furgonetce.

Wilk? Zielona furgonetka? Iris obejrzała się tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi. Esmeralda stała pomiędzy szkolną orkiestrą a tłumem gapiów na chodniku. Adam siedział za kierownicą, obok niego, na fotelu pasażera, Kimantsi. Adam miał na sobie czarny tużurek, sznurkowy krawat i wyszywaną kamizelkę w stylu Wynne'a Rowlanda. Mówił coś do jednego z członków orkiestry. Nagle odwrócił się, napotkał wzrok Iris i uśmiechnął się do niej.

Serce jej zamarło. Cały świat wydawał się wstrzymywać oddech, kiedy Adam Freemont uśmiechał się do niej.

- Adam! - zawołała. Platforma zakołysała się i musiała przytrzymać się krzesła. Wszystko ruszyło od nowa. - Adamie, jak ci poszło w Carson? Co powiedzieli ludzie z Eagle Valley? Czy pozostali przy projekcie Rainbow?

Pokazał na uszy i pokręcił głową. Nie słyszę cię. Potem rozejrzał się uważnie i znalazłszy lukę, podjechał Esmeralda jak najbliżej platformy.

Wychylił się przez okno.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział. - To całe zamieszanie nie może być skutkiem naszej imprezy. Co tu się, u diabła, dzieje?

- Mniejsza z tym - odparła. - Co z Rainbow?

- Wszedłem z zebrania o pierwszej nad ranem. Nadal się upierają, że Felicity leży na zbyt wielkim odludziu. Ja kontrargumentowałem, że ten weekend wszystko zmieni. Nagle dotarło do mnie, że impreza ma kapitalne znaczenie i lepiej byłoby, żebym wziął w niej udział. Boże, gdyby oni też mogli to zobaczyć. Skąd, u licha, wzięło się tyle ekip telewizyjnych?

- Czy przez ten cały czas nie słuchałeś radia? Nie czytałeś gazet? Nie oglądałeś dziś rano telewizji?

- Nie - przyznał. - Brałem udział w zebraniu bez przerwy przez dwa i pół dnia. Dotarłem do domu koło piątej rano i przespałem się kilka godzin. Przepraszam za spóźnienie. Co się stało, Iris?

- Znalazłam naszyjnik - powiedziała. - We wtorek w nocy, w kopalni.

- Że co?!

Nagle platforma zatrzymała się tak gwałtownie, że Iris znów musiała chwycić się krzesła. Przez tłum przeszedł szmer, wszystkie głowy odwróciły się w jedną stronę, ludzie coś sobie pokazywali.

Na skrzyżowaniu Głównej i Wingfield jeep blokował drogę pochodu. Z okna wychylała się Lena Maxon, wywijając czerwono-biało-niebieską kopertą.

Przesyłka od jubilera, pomyślała Iris. Naszyjnik. Jubiler odesłał go o wiele wcześniej, niż się spodziewałam. Czy to znaczy, że wycena wypadła dobrze? A może na odwrót?

- Adamie! - zawołała. - Czy mógłbyś przynieść mi kopertę od Leny?

Esmeralda musiała zatrzymać się z całą paradą. Po raz pierwszy zauważyła wgniecenia i rysy na drzwiach i boku Esmeraldy od strony kierowcy. Wynik katastrofy na pustyni. W tym miejscu zbiegają się nasze marzenia, powiedział wtedy Adam.

Błagam, pomyślała. Niech wycena będzie korzystna, żeby mógł powstać kolejny punkt, w którym spotkają się nasze marzenia...

Adam wysiadł z samochodu.

- Przebiję się przez tłum i przyniosę ją w zębach, jeśli będzie trzeba. Na miłość boską, Iris, czy powiedziałaś, że znalazłaś naszyjnik Tęczowej Narzeczonej?

- Przynieś kopertę - odparła - to sam zobaczysz. Kima wyskoczyła z furgonetki, a tłum rozstał się przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Lena oddała kopertę Adamowi, pomachała Iris i z piskiem opon cofnęła jeepa. Tłum znów ruszył. Ludzie krzyczeli z podniecenia. Kamerzyści przygotowali sprzęt.

- Proszę. - Adam wskoczył na platformę.

Kima znalazła się obok niego. Pasikonik wyrwał się z rąk Iris i nastroszył sierść. Ogon miał wielkości piłki futbolowej. Ruszył prychnając w stronę Kimy.

- O Boże, ona go zabije - powiedziała Iris. - Przytrzymaj ją, Adamie.

- Nie zabije - odparł Adam.

Kima opuściła łeb i powąchała stojącego przed nią małego wojownika. Nagle Pasikonik położył z powrotem sierść, kurcząc się do normalnych rozmiarów. Pacnął Kimę w nos jedną łapką. Przyjacielsko, bez pazurów.

- Widzisz - rzekł Adam. - Pasikonik wcale się jej nie boi. Iris roześmiała się. Poczula się dobrze. Wiatr wzdymał jej welon.

- Ja również się jej nie boję. Już nie. Popatrz. Pogłaskała Kimantsi po łbie. Sierść była gęsta i miękka w dotyku. Kima stuliła uszy i spojrzała do góry. Ostatnie upiory, ostatnie lęki rozwiały się w słonecznym świetle dnia. Iris znów się roześmiała.

- Już się jej nie boję - powtórzyła. - Chyba już nie boję się niczego.

- A ja owszem - rzekł Adam. - Boję się, że jeżeli natychmiast nie otworzysz tej koperty, tłum rozedrze nas na strzępy. Czy to są przeprosiny od Donalda Fontenota?

- Już je otrzymałam. To jest coś znacznie lepszego. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Otworzyła kopertę. Wewnątrz znajdowała się druga ze starą kasetką oraz list. Wyjęła najpierw list.

- Dziękujemy za umożliwienie nam i tak dalej, i temu podobne - czytała.

- Ametysty, akwamaryny i cytryny... dalej. O, tutaj... Czterdzieści osiem rubinów o identycznym odcieniu i wadze około jednego karata każdy.

Sześćdziesiąt szmaragdów o nieskazitelnym kolorze i wadze od... Sama wartość kamieni waha się od trzystu do czterystu tysięcy dolarów. Naszyjnik jako przedmiot historyczny jest sam w sobie unikalny i wart... Od trzystu do czterystu tysięcy dolarów.

Lekarz. Karetka. Lśniaca, dobrze wyposażona przychodnia.

Iris wypuściła z rąk list. Porwał go wiatr. Adam w ostatniej chwili złapał kopertę, która też wysuwała się jej z rąk. Delikatnie rozpakował znajdującą się wewnątrz mniejszą kopertę. Na widok starej kasetki jubilerskiej zawahał się i zmarszczył brwi.

- Otwórz to - powiedziała Iris.

Odsunął zameczek i otworzył kasetkę. Słońce wydobyło z kamieni tęczyowy blask i odsłoniło złoto-srebrną oprawę. Przez dłuższą chwilę Adam wpatrywał się bez słowa w naszyjnik. Dookoła błyskały flesze i szumiały kamery.

- Gdzie go znalazłaś? - spytał wreszcie. - Jak? Boże, Iris, nie wiem, czy powinienem ci gratulować znalezienia naszyjnika, czy zwymyślać za podjęcie takiego ryzyka. Ta stara kopalnia jest niebezpieczna.

- To trwało zaledwie kilka minut. Opowiem ci o tym później. Och, Adamie...

Urwała i popatrzyła na niego. Wszystko w jego twarzy było znajome: mocno zarysowana szczęka, ciemne brwi, oczy koloru deszczu i złoczone słońcem rzęsy. Uśmiechnął się do niej.

- Iris - zaczął. - Ja...

- Nie - przerwała mu.

Serce jej waliło, palce miała zimne. W wyobraźni wszystko było łatwe. To jednak jest rzeczywistość. Ryzyko, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie podejmowała.

- Nie - powtórzyła. - Najpierw powiem ci, co zamierzam zrobić z naszyjnikiem.

- Mam nadzieję, że go włożysz.

- Co z nim zrobię potem. Oczy mu pociemniały.

- Nie będę trzymała go za szkłem w bibliotece ani nigdzie indziej - powiedziała wreszcie. - Zamierzam go sprzedać. Za uzyskane pieniądze otworzę przychodnię w Felicity. Taką, o jakiej mówiliśmy. Zostanę tutaj. Zamierzam dopilnować, żeby nie powtórzyło się to, co spotkało Samanthę.

- Znalazłaś swój naszyjnik - rzekł głuchym głosem. - Jest wart około czterystu tysięcy dolarów. Chcesz go sprzedać i za te pieniądze otworzyć przychodnię w Felicity?

- Tak. I w dodatku muszę powiedzieć...

Że kocham, kocham. Dlaczego tak trudno wypowiedzieć te słowa?

Otulił ją ramionami. Tłum krzyknął na wiwat. Iris objęła go w pasie. Szamerunek na kamizelce odcisnął wzorek na jej policzku. Po prostu poczuj to, Adamie. Poczuj to, co ci chcę powiedzieć. Że cię kocham.

- Wiem, kochanie, wiem. Ale to wszystko zmienia. Jesteś bogata. Jesteś bohaterką dnia. Ja przychodzę od ludzi z Eagle Valley. Muszę zaczynać od początku, szukać inwestorów. Nie mam niczego, prócz praw własności do wymarłego miasta i pliku wyników badań.

- Dla mnie to nie ma znaczenia.

- Ale dla mnie ma.

Cofnęła się. Nie będę płakać, postanowiła. Nie przed tymi wszystkimi ludźmi, nie przed kamerami. Prędzej zapadnę się pod ziemię, niż uronię choćby jedną łzę.

W żadnym razie nie poddam się i nie pozwolę się odtrącić.

- Wiec bądź dumny, Adamie Freemont. Bądź uparty. Kocham cię w taki właśnie sposób.

Ze zdumienia aż zadzwonił trzymanym w ręku naszyjnikiem.

- Iris - szepnęła bez tchu - moja ukochana.

- Czy pomożesz mi włożyć ten naszyjnik, czy też będziemy tak stali, aż parada się skończy?

Bez słowa rozpiął naszyjnik. Odwróciła się do niego tyłem, a on przełożył jej go przez głowę. Wiwaty zagłuszyły szum kamer. Iris czuła, jak zimny, delikatny łańcuszek oplata jej szyję, ciepło palców Adama, który, żeby zapiąć kolbę, musiał odsunąć na bok kosmyki jej włosów.

- Parada dobiega końca - mruknął. - Jesteś tak piękna, że aż mi dech zapiera, moje kochanie. Piękna, dzielna i szczodra aż do granic. Nie mogę pozwolić...

- Adamie! Tutaj!

Męski znajomy głos. Iris odwróciła się.

Tommy Killian w stroju górnik z przełomu stuleci przeciskał się przez tłum zgromadzony na końcu trasy. Za nim posuwała się wysoka, jasnowłosa kobieta i sześciu mężczyzn ubranych w idiotycznie prezentujące się w słońcu pustyni czarne garnitury.

- Caroline Wellcome - zauważył Adam. -1 jeszcze Roger Harris i Ed Vaughan, i nie pamiętam jak mu na imię, Resnick... Cały cholerny zarząd Eagle Valley Minerals. Czego oni tu szukają?

- Adam, ci faceci chcą z tobą porozmawiać - oświadczył Tommy.

Niestrudzeni kamerzyści zajęli pozycje. Adam zamarł. Platforma zatrzymała się w trzasku migawek.

Iris podkasła suknię.

- Kimantsi - powiedziała - zostań. Pilnuj Pasikonika. Chodź, Adamie, pomóż mi stąd zejść. W tym gorsecie nie mogę się swobodnie poruszać.

Zszedł na dół i objął ją w pasie. Iris sfrunęła na jezdnię w kolorowym obłoku trzepoczącego jedwabiu.

- Poczekaj, aż usłyszysz, co mam ci do powiedzenia -odezwał się Tommy Killian. - Chodzi o Rainbow, naszyjnik i o... - Urwał. Popatrzył na Iris. - Chodzi o pannę Merlin. O to, że znalazła pani naszyjnik i w ogóle. Uratowała nas pani. Uratowała pani Sammy. A ja nawet pani nie podziękowałem.

- Mniejsza z tym - rzekła Iris. - Rozumiem, że byłeś...

- Czemu nie powiedziałaś nam - przerwał jej z wyrzutem jeden z ubranych w garnitur mężczyzn - że panna Merlin znalazła naszyjnik?

- Bo nic nie wiedziałem - odparł Adam.

- Adamie, to wręcz niewiarygodne - powiedziała Caroline Wellcome, uczepona ramienia Tommy'ego. - Obiecywałeś, że impreza przyciągnie wielu ludzi do Felicity, ale nie spodziewałam się takich tłumów.

- Ja też nie - uśmiechnął się Adam. - A wy, co tu robicie?

- Zobaczyłem pannę Merlin w dzisiejszym wydaniu „Dzień dobry, Ameryko” - wtrącił inny gamiturowiec. - Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Rzecz jasna, zwołałem wszystkich i przyjechaliśmy bezzwłocznie. To, oczywiście, wszystko zmienia.

- Jak zmienia? - spytał Adam.

Miało to zabrzmieć nonszalancko, ale trochę mu nie wyszło.

- Ponownie przemyśleliśmy naszą decyzję. Oczywiście nasze wątpliwości, czy Felicity zdoła przyciągnąć odpowiednią liczbę ludzi, okazały się chybione.

- Chybione - powtórzył jego kolega.

- Jak kulą w płot - powiedziała Caroline Wellcome. W jej beznamiętnym zazwyczaj głosie słyhać było satysfakcję. - Chociaż, żeby to pojęli, potrzeba było Iris i jej naszyjnika. Nie pozwolimy, żeby Rainbow

wymknęło się nam z rąk. Umowa stoi na sto procent. Chcemy, żebyś przyjechał do Carson w poniedziałek i podpisał papiery.

- Będę tam w poniedziałek. - Adam uśmiechnął się radośnie. - Stawię się niechybnie.

Tommy Killian skoczył w górę.

- Umowa stoi! - wrzasnął. - Słuchajcie wszyscy! Rainbow znów wchodzi do gry!

Tłum wręcz oszalał. Adam został obsypany pocałunkami. Nagle Iris zobaczyła przed sobą ośmioletniego chłopca, który z wypiekami słucha starych opowieści i przemierza każdą piędź swojej ukochanej pustyni. Taki był Adam, zanim matka wywiozła go stąd, zanim walka rodziców o duszę chłopca nie rozdarła mu serca.

„To zmienia wszystko...”

Nagle poczuła, że obcisły gorset zaczyna ją dusić. Sięgnęła do krawędzi platformy, by się przytrzymać i chociaż musiało to wyglądać wyjątkowo głupio, zaczęła się osuwać...

- Iris.

To był głos Adama.

- Iris.

Otworzyła oczy. Leżała w łóżku w nieznanym pokoju. Ściany były z surowego, czerwonożłotego drzewa, a wszędzie było pełno słońca. To dom Adama. Jego sypialnia.

Stanik sukni ślubnej Tęczowej Narzeczonej był rozpięty, a gorset rozsznurowany. Wreszcie mogła znowu głębiej odetchnąć.

- Dobrze się czujesz? - spytał Adam. - Chyba zaszkodził ci nadmiar słońca, zbytne podniecenie i za ciasny gorset.

- Oczywiście, że nic mi nie jest - odparła Iris. - Chociaż wygląda na to, że nabrałam niepokojącego zwyczaju omdlewania w twoich ramionach. Gdzie jest naszyjnik?

- Wciąż na twojej szyi. Dotknęła go.

- Jak się tu znalazłam?

- Parada zakończyła się przy Wingfield, na wprost mojego domu. Kiedy zakręciło ci się w głowie, pomyślałem, że wolałabyś nie demonstrować przed kamerami techniki rozsznurowywania tęczowego gorsetu.

Iris roześmiała się. Nigdy nie czuła się lepiej.

- Wcale nie jest tęczowy, tylko biały, jak miałeś okazję się przekonać.

Adam uśmiechnął się.

- To była metafora. Czy pamiętasz, co się stało?

- Był tam Tommy Killian... Przeprosił mnie, chociaż wydaje mi się to wręcz nieprawdopodobne. Była też Caroline Wellcome i kilku facetów w garniturach. Czekał... to byli członkowie zarządu. Adamie! Zdecydowali się!

- Owszem. Teraz będę mógł wreszcie zrobić to, co powinienem.

- Uratować Felicity?

- Coś o wiele bardziej romantycznego. Zamierzam poślubić cię dziś po południu.

- Po południu? - zerwała się. - Czy to możliwe?

- To jest Nevada. Oczywiście, że możliwe. Przecież planowaliśmy na popołudnie ceremonię odnowienia ślubu Tęczowej Narzeczonej.

- Tak, ale...

- Zamiast tego, odbędzie się prawdziwy ślub. Reporterzy oszaleją. Czy wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, że tak - westchnęła. - Och, Adamie, tak bardzo cię kocham.

- Ja też. Bardziej nawet, niż zdołam powiedzieć. Nigdy nie przypuszczałem, że miłość nie jest samolubna, że może być hojna.

- Nadal chcę sprzedać naszyjnik - powiedziała stanowczo Iris. - Nieważne, ile pieniędzy przyniesie kopalnia. Sprzedaję naszyjnik, otwieram przychodnię i nawet nie próbuj mnie powstrzymać.

- Nie zrobię tego, ale pod dwoma warunkami.

- Jakimi? Wziął ją za rękę.

- Która to?

- Prawa. Nie, lewa.

Uśmiechnął się. Jednym palcem zatoczył krąg wokół jej serdecznego palca.

- Zachowaj jeden rubin. Ten, który nosiłaś w torebce. Oprawię go w pierwsze wydobyte w Rainbow złoto.

- Obiecuję. A co z drugim warunkiem?

- Nie będę próbował powstrzymać cię przed wybudowaniem przychodni, jeśli zgodzisz się na zbudowanie biblioteki.

- Adamie! To wspaniałe. Tak, proszę, chcę bibliotekę! Długi, zapierający dech pocałunek.

Szmer jedwabiu.

- Lepiej zasznurowę cię na nowo - powiedział. - Reporterzy wedrą się tu lada chwila, a my musimy przygotować się do ślubu.

- Będiesz wspaniałym Wynne'em Rowlandem. Jestem taka szczęśliwa.
- A ty, kochanie, będziesz najpiękniejszą... Urwał, bo wzruszenie odebrało mu głos na chwilę.
- I najukochańszą Iris Merlin. Moją własną Tęczową Narzeczoną.